Nr. 8 (1104). Warszawa, dnia 7 (22) Lutego 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

O CHINY I KOREĘ.

Dnia 12 b. m. rozesłano z Londynu telegram: „Rząd złożył parlamentowi traktat podpisany w Londynie d. 30 stycznia przez ministra spraw zagranicznych Lansdowne'a i posła japońskiego Hajaszego.“ Było to zaskoczenie opinii politycznej w Europie, a nietylko jej, ale i samej dyplomacyi. Gdy w Pekinie poseł angielski uwiadomił swych kolegów— powydłużały im się twarze. Robotę otaczała tajemnica; wiedzieli o niej tylko ci, którzy przy niej stali, między innymi margrabia Ito. Margrabia Lansdowne w depeszy do posła angielskiego w Tokio nakazuje uważać nowe związanie się międzynarodowe za wynik wypadków zaszłych od r. 1900 na azyatyckim Wschodzie, za skutek udziału w nich obu związanych mocarstw. Przekonały się one, że interesa ich są we wszystkiem zgodne; postanowiły więc zgodność uwieńczyć traktatem, dalekim od zaczepności lub „nielojalności“ względem innych mocarstw. Umowa anglo-japońska ma dążność nawskroś pokojową, nie grozi żadnemu ze „słusznych“ interesów obcych. Najlepszym tego dowodem jest sama jej treść: przymierze wchodzi w życie dopiero w razie wystąpienia przeciwko jednemu ze sprzymierzonych— koalicyi dwu lub większej liczby mocarstw. Póty margrabia. Po nim głos dać trzeba samemu streszczeniu umowy, w 6 punktach przez rząd angielski ogłoszonych:

1) Przedsiebranie środków odpowiednich w razie zaczepnego wystąpienia jakiegokolwiek innego państwa, albo też zaburzeń w Chinach i na Korei, albo wreszcie jawnej potrzeby osłonienia swych poddanych.

2) Zachowanie ścisłej neutralności w razie zaczepienia Anglii lub Japonii przez trzecie mocarstwo, z obowiązkiem wszakże niedopuszczenia koalicyi państwa nieprzyjacielskiego z jakiem innem.

3) Dopomożenie czynne państwu sprzymierzonemu w razie dojścia do skutku takiej koalicyi, wspólne z niem prowadzenie wojny i wspólne zawarcie pokoju.

4) Wyrzeczenie się prawa do zawierania wszelkich umów odrębnych ze szkodą interesów przez przymierze bronionych.

5) Zawiadamianie się wzajemne o każdem niebezpieczeństwie, któreby interesom tym zagrozić mogło.

6) Bezzwłoczne wprowadzenie umowy w życie i przestrzeganie jej przez lat 5. Jeżeliby jedno z mocarstw sprzymierzonych w terminie wygasania umowy wwikłane było w wojnę przewidzianą w punkcie 2, umowa zachowa moc swą aż do ukończenia wojny.

Do tych sześciu punktów przybywa jeszcze konwencya militarna, urządzająca współdziałanie zbrojne. Tę trzymają obie strony w tajemnicy, a zapewne trzymają jeszcze jeden drugi artykuł tajemny samej umowy dyplomatycznej. Nawet wtedy, gdy się chce żyć prawdą—a tu samo ujawnienie ma być środkiem działania — nie mówi się nigdy całej prawdy.

Dzienniki angielskie biją w bębny radości. *Pall Mall G.* woła: „Przymierze oczyściło powietrze, podcina nogi burzycielom pokoju, nadaje moc nową umowie anglo-niemieckiej (z r. 1900).“ *Times* twierdzi, że umowa, nikomu zgoła nie grożąc, uświęca zasady przez wszystkich uznane. Dla *Daily Mail* traktat zagraża tym, którzyby chcieli prowadzić politykę rozkladową. *Morning Post* znowu wita umowę jako osłonę dla Chin, pożyteczną dla Anglii a niegroźną dla nikogo. *Daily Telegraph* nawet posuwa swe przekonanie o niewinności traktatu aż do twierdzenia, że nic nie przeszkadza Japonii związać się tak samo z Francyą, Niemcami — wreszcie i z samą Rosyą — a czemuby i nie z Ameryką? Dla *Daily Chronicle* nakoniec d. 30 stycznia 1902 r. jest epoką w dziejach powszechnych: pierwsze to przymierze między mocarstwem aryjskiej Europy a dalekim Wschodem azyatyckim — świecidełko dobre dla wyobraźni, niewielka obrada dla polityki. Francuzi są wogóle niezadowoleni z kontraktu. *Temps* upatruje w nim zapowiedź „nowych praktyk“ angielskich; na miejsce „otwartych wrót“ wchodzą „związane ręce.“ *Jour. des Débats* lęka się o Japonię, aby na współce źle nie wyszła. Patryotyczna *Patrie* przewiduje pokrzywdzenie Francyi. Dzienniki niemieckie chełpią się, że kanclerz o wszystkiem wiedział, ale o wszystko jest spokojnym. Winszować mu potrzeba tej wszechwiedzy i tego wszechspokoju.

Jednocześnie z wiadomością o traktacie rozeszła się inna: ręka chińska wstrzymała się z podpisaniem umowy o Mandżuryę. Z zestawienia wynikałoby, że nowy traktat niepokoi się nietylko o Chiny i Koreę, ale i o Mandżuryę, chociaż ani jednem słowem o niej nie wspomina. Traktat musiałby tu być wyraźnie zaczepnym, oba mocarstwa musiałyby się odważyć na wojnę, nadzwyczaj uciążliwą, a nie zapewniającą w najlepszym razie korzyści dotykalnych: żadne z nich bowiem nie mogłoby dla dobra Chin, wyręczyć Rosyi w zyskanem już posiadaniu. Nic zresztą w polityce nie robi się dla czyjegoś dobra, wszystko robi się dla siebie: o sobie też myśli i Anglia i Japonia. Nawet wszelkie poręczenia nietykalności zawsze tylko własny interes

mają za natchnienie: dostaje się kubana lub zabezpiecza się sobie własne swe granice, własne swe widoki i obręby ambicyi i działalności politycznej.

W obecnym wypadku niema nawet takiego poręczenia: nigdzie nietykalność Chin nie jest celem; jedynie tylko zakłócenie ich spokoju ma być bodźcem do działania. Oba mocarstwa nie umawiają się nawet o nietykalność Korei; jasnym jednak jest punkt I, uważający za *casus foederis* wszelkie wystąpienie obcego mocarstwa na gruncie koreańskim. Korea nie ma być rosyjską — to wszystko co jest stanowczego w traktacie. Wobec Chin bez Mandżuryi, oba mocarstwa stają tylko w pogotowiu na wszelkie wypadki. Ponieważ nie poręczają nietykalności, więc chciałyby nie wyjść z kwitkiem, gdy „wszelkie wypadki" zbiegną w zagadnienie: co i jak rozszarpać. Traktat ostatecznie jest umową przeciwko jednostronnemu rozwiązaniu bądź kwestyi chińskiej, bądź kwestyi koreańskiej, a jego ochronny i odporny charakter poddaje umysłowi domniemanie, że w tych czasach właśnie musiało za kotarami gabinetów zajść coś takiego, co tę ochronność i odporność japońsko-angielską wyzwało. Traktat jest ze stanowiska obustronnych interesów dobrym, ale żeby się stać zupełnym, potrzebuje poręczenia nietykalności samej Japonii: niedaleka już jest chwila, kiedy t. zw. „Wielka Brytania Wschodu" będzie musiała walczyć o życie. Nie ocali jej morze, nie ocalą własne okręty i wojska: tylko wielkie mocarstwo europejskie, morskie, może ją od upadku uchronić.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Francyi.

Wiadomem jest powszechnie, że we Francyi, prócz Izby, do której posłowie wchodzą przez powszechne tajne głosowanie, istnieje jeszcze senat, którego członkowie wybierani są przez kolegia, złożone z deputowanych, radców departamentalnych i okręgowych oraz delegatów rad miejskich.

Łatwo zrozumieć, że przy takiem pośredniem głosowaniu wchodzą do senatu w znacznej większości przeciwnicy wszelkiego postępu, wstecznicy przeróżnego gatunku, a nieraz i zdziecinniali starcy, którzy z przyczyny rozmiękczenia mózgu raczej w domu zdrowia winni znaleźć przytułek.

Każde prawo, budżet, najmniejsza zapomoga dla miast lub pożyczka, zagłosowana choćby po najdłuższej i najsumienniejszej dyskusyi przez Izbę, musi przejść pod zatwierdzenie senatu, który przedewszystkiem wybiera komisyę do rozpatrzenia danej sprawy, a ta przez całe miesiące lub lata niby ją bada lub też po pewnym czasie daje sprawozdanie na ogólnem zebraniu senatorów, którzy ostatecznie głosują lub ponownie na całe miesiące odsyłają sprawę do komisyi.

Przy takiej organizacyi senat we Francyi staje się hamulcem dla młodzieńczych jakoby zapędów nierozważnych deputowanych, a właściwie nieprzepartą zaporą dla podważenia jeśli nie zgruchotania przesądów i trzeszczących już gmachów, cementarzem najumiarkowańszych nawet praw dla polepszenia doli cierpiących — a pożyteczna działalność Izby staje się fikcyą.

Nie szumnych bowiem frazesów, nie jałowych dyskusyj, nie wiecznych projektów domagają się wyborcy, ale faktów i czynów, lepszych praw i mniejszej niedoli, a tego senatorzy nawet w tak małym stopniu jak deputowani, dać nie chcą, czy nie mogą.

Z jednej strony widnokrąg ich myśli nie może już się rozszerzyć, rozwój umysłowy dawno powstrzymany, ideały wygasły; z drugiej na podobieństwo skąpych rycerzy trzymają się pazurami i resztką swych zębów, bronią do upadłego tych praw i instytucyj, wśród których wyrośli, zdobyli mienie, tytuły i sławę.

Rzadko nader — i to jedynie pod silnym naciskiem opinii publicznej — senat po długich debatach i wahaniach bywa zniewolony do zawotowania jakiegoś pożytecznego prawa, jak np. Milleranda-Colliarda o ograniczeniu godzin pracy kobiet i dzieci, o zniesieniu nieupoważnionych kongregacyj itp.

Zazwyczaj, a zwłaszcza gdy nie widzi na horyzoncie czerwonych punktów i wydaje mu się, że na świecie spokojnie, że nic nie może zakłócić uczt jego i drzemki, grzebie on jedno po drugiem prawo przedstawione przez Izbę lub odracza je na czas nieograniczony.

Za jaskrawy i nad wszelki wyraz charakterystyczny przykład wstecznictwa i szkodliwości senatu może nam służyć jeden z ostatnich jego czynów — odrzucenie prawa znoszącego płatne biura stręczeń pracy. Kwestya ta — na pozór może, dla niejednego błaha — we Francyi przynajmniej jest pierwszorzędnej wagi i od dawnych czasów coraz więcej wysuwa się na porządek dzienny, domagając się radykalnego rozstrzygnięcia. Dotyczy wszakże ona, podług urzędowych danych, 1,200,000 pracowników, a podług zdania tych ostatnich, nawet półtora miliona ludzi, nietylko pozbawionych t. zw. praw robotniczych, ale jeszcze zmuszonych sprzedawać swą pracę za pośrednictwem faktorów, jakimi są właściciele biur stręczeń.

Do kategoryi tych podwójnie upośledzonych należą wszyscy pracujący w zakładach spożywczych, a więc piekarze, cukiernicy, rzeźnicy, wędliniarze, obsługujący w handlach korzennych, restauracyach, winiarniach i szynkach, młynarze, dalej wszelkiego rodzaju służący i służące zarówno w domach prywatnych, jak w hotelach i biurach, subjekci handlowi, fryzyerzy, szewcy, farbiarze, wreszcie nauczyciele prywatni.

Oddawna ciężyło im jarzmo biur stręczeń. Nie trzeba bowiem być ani wielce uświadomionym robotnikiem, ani wielkim znawcą kwestyi robotniczej, ażeby zrozumieć ich złe strony, całą ich zgrozę i ohydę. Przedewszystkiem pozbawiają one grosza najbiedniejszych, bo niemających pracy. Nie ściągając zazwyczaj żadnej opłaty od najmujących, pomimo wszelkich regulaminów, zawsze niemal z góry biorą wpisowe od najmity; w Paryżu np. od służącego 5 franków, a po objęciu przezeń pracy na jeden dzień tylko pobierają od 5—10%, na czas zaś dłuższy przeciętnie 3% od płacy rocznej, bez względu na czas, przez jaki robotnik pozostaje na jednem i tem samem miejscu. Obliczają, że biura stręczeń we Francyi, których ogółem jest przeszło 1,100 (w samym Paryżu do 320), biorą rocznego haraczu od robotników 18 milionów franków.

Choć powinnyby dawać pracę zapisującym się podług kolei, bardzo często przekraczają tę zasadę sprawiedliwości, ofiarując miejsce tym, którzy pokątnie większe wpisowe im opłacili, albo przyrzekli większy procent od płacy; słowem, wystawiają miejsca jakby na licytacyę, przy której

---

M. Grossek.

SERCE.

VIII.

Antoni zaczął teraz formalnie przesiadywać w aptece; służba już go nawet przestała uważać za gościa. Przychodził z rana, zaledwie się słońce trochę podniosło i zanim wszyscy w domu powstawali, kopał coś w ogrodzie i majstrował koło gołębnika. Potem szedł z kluczami do kredensu, naparzał herbatę i wydobywał przybory do śniadania. Do domu zaś powracał bardzo późno, po długich nocnych spacerach i wysiadywaniach na ganku, jeżeli pełnia jasno świeciła, przemykając się gimnastycznym krokiem swych nóg długich przez puste, uśpione uliczki, które napełniał gwizdaniem ulubionych aryj. Ale najczęściej wpraszał się na nocleg do Ignacego.

Nikt już nie wątpił, że magnesem, który go tutaj trzymał na uwięzi, była panna Marya! i że jeśli nie miłość, to przynajmniej silne zadurzenie wywiązało się między nimi. Zresztą sam Antoni nie dawał światu ani przeoczyć tego faktu, ani o nim powątpiewać, ani zapomnieć, afiszując stosunek swój z panną tak jawnie i głośno, jak by mu wbrew gustom wszystkich zakochanych, opublikowanie nie sekret był na rękę. Dziwny ten romans *pro publico bono* był zabawą i zajęciem całego towarzystwa. Antoni wkładał w niego cały swój talent komika, posługując się ku temu, jak nie można lepiej, aparatem przesadnego romantyzmu. Co on się naklęczał przed panną! — jak mocno, padając przed nią, uderzał kolanami o podłogę, co się nacałował brzegu jej sukni, co wstążek ponaczepiał sobie do piersi! Jak często odgrywał bicie serca, nagłe rumieńce i spazmy, ile wypowiedział na cześć jej metafor w fantastycznym stylu bajek arabskich! Wszystko to mocno wyglądało na kpiny. Lecz obecne na tych widowiskach towarzystwo, w romansie tym szukające tylko dla siebie zabawy, nie zdawało sobie sprawy z tej szarży. Panna zaś, choć cięta i sprytna, zbyt była zarozumiałą i zbałamuconą hołdami, aby się na tem poznać mogła. Za młody na konkurenta, nadawał się w sam raz do pokątnych całusów, stanowiących pożądaną dywersyę w wyczekującem życiu panieńskiem. Hołd młodzika, niby to „z góry" i żartem, w gruncie rzeczy przyjmowany był bardzo skwapliwie. Gadano nawet w miasteczku o zaręczeniu się Antoniego z guwernantką od Kuczów, a pogłoska ta odebrała sen pani Różyńskiej na noc niejedną!...

Tymczasem Antoni, rzuciwszy tak sprytnie na pastwę światowego Molocha „słomiany ideał," myślał i marzył o Serafinie, osaczając ją skomplikowaną taktyką. Dlatego też przyjął wdzięczną rolę *persona comica*, pamiętny na przysłowie, że panu i błaznu wszystko wolno! Stanisław przepadał za nim, żyć już bez niego nie mógł. Na wspólkę urządzali różne figle i „sztuki," godne dwóch czwartoklasistów. To udawali złodziei, włamujących się nocą do domu, to niespodziewane przyjazdy dawnych zapomnianych ludzi „z Kaukazu," lub „z Ameryki." Przebierali się nawet za nieboszczyków i straszyli o północy, wywołując wiele bardzo krzyku, przestrachu i bezsenności, lub zacieknienia, bieganiny, kłopotu i popłochu wśród kobiet.

biednemu, rodziną obarczonemu robotnikowi trudno się utrzymać.

Owe biura stręczeń nietylko obdzierają robotnika, ale jeszcze przyczyniają się wielce do bezrobocia i obniżenia płacy. Z jednej strony szumnemi ogłoszeniami i przy pomocy swych faktorów sprowadzają na rynek roboczy wciąż nowych ludzi ze wsi, z drugiej używają wszelkich środków, aby zarobkodawcy jak najczęściej zmieniali swą siłę roboczą; tym sposobem w Paryżu np. wciąż pozostaje bez pracy co najmniej 1,500 rzeźników, 2,500 piekarzy, 500 fryzyerów itd.

Powyższe złe strony biur stręczeń muszą każdemu rzucać się w oczy. Są jeszcze jednak mniej uchwytne: bywają one bardzo często przedsionkiem domów publicznych, gdzie kawalerowie lub wdowcy mogą znaleźć „dziewczyny do wszystkiego,“ są zawsze biurem wywiadowczem o przekonaniach religijnych i politycznych robotników, obrazem poniżenia godności ludzkiej, gdzie kupcom na podobieństwo bydła lub nierogacizny daje się do wyboru dziesiątki mniej lub więcej uświadomionych ludzi.

Już w r. 1848 prefekt policyi zniósł biura stręczeń, lecz na nieszczęście w roku następnym trybunał je przywrócił; w 1852 r. za cesarstwa wydano dotychczas obowiązujący dekret, poddający te zakłady pod nadzór władzy miejskiej i policyjnej; oddawna, zwłaszcza od chwili wydania w r. 1848 prawa o związkach zawodowych, które pozwalało na zakładanie przy syndykatach bezpłatnych biur pracy, a jeszcze więcej od założenia w Paryżu przez radę miejską w 1887 r. giełdy pracy, robotnicy dokładali i dokładają wszystkich usiłowań, ażeby zrzucić z siebie to upokarzające i gnębiące ich jarzmo.

Dzięki tym usiłowaniom, niemal dwadzieścia razy poruszono w Izbie sprawę zniesienia owych biur, w senacie zaś w roku bieżącym po raz trzeci nad nią rozprawiano, a raczej ją grzebano.

Po osiemnastu latach walki w końcu listopada roku zeszłego Izba przyjęła nareszcie projekt zniesienia biur stręczeń pracy, i to nie natychmiastowego, lecz dopiero po upływie pięciu lat, w ciągu których miasto nie miałoby już prawa dawać pozwolenia na zakładanie nowych biur, a mogłoby znosić istniejące za odpowiednią indemnizacyą.

Zdawało się, że na ten umiarkowany projekt senat powinien się zgodzić; nadzieje jednak i tym razem zawiodły. Nietylko odrzucił on projekt Izby, lecz nie przystał także na przejściowy projekt senatorów Straussa i Poirriera, proponujących pozostawienie biur, które w ciągu pięciu lat nie byłyby wykupione przez miasta.

Senat przyjął projekt swej komisyi, mało różniący się od dekretu z 1852 r., a nawet bardziej wsteczny, gdyż § 1 mówi: „Pozwolenie na założenie biura będzie dane każdej osobie...“, tymczasem w dawnym dekrecie było powiedziane: „Pozwolenie dane być może tylko osobom...“

Jak zawsze, tak i w danym wypadku senat jakoby działał „w imię wolności“ (!). Za dowód wielkiej użyteczności płatnych biur stręczeń pracy stawiano fakt, że obecnie 900,000 robotników zwraca się do płatnych, a zaledwie 300,000 do bezpłatnych biur, istniejących przy syndykatach, merostwach, towarzystwach wzajemnej pomocy itp.

Dziwna logika, czy też krętactwo senatorów!

Robotnik, nie chcąc skazywać na śmierć głodową siebie i swej rodziny, musi szukać pracy tam, gdzie ją prędzej znaleźć może, dokąd udaje się jego zarobkodawca. A ten idzie zawsze do płatnych biur stręczeń pracy, gdzie sam nic nie płaci, ma wolny wybór robotnika, może, nie krępując się taryfą syndykalną, oznaczyć niższą płacę, zasięgnąć o nim wiadomości, swobodnie na swój sposób wyspowiadać go, rozmawiać jak „pan ze sługą,“ być jakby u siebie.

Próżne złudzenia, ażeby bezpłatne biura wynajdywania pracy, jakie są przy merostwach i syndykatach, mogły pomimo zapomóg niektórych miast rozwijać się, dopóki obok nich istnieć będą płatne biura jedynie popierane przez zarobkodawców!

Robotnicy francuscy aż nadto dokładnie to rozumieją i pomimo ostatniej porażki w senacie, sprawy nie uważają za przegraną; energicznie przygotowują się na marzec do wielkiego kongresu wszystkich interesowanych fachów, ażeby powziąć ostateczne postanowienie co do dalszej walki dla osiągnięcia pożądanego celu.

Dr. J. Zieliński.

LISTY GALICYJSKIE.

Niepodobna zaprzeczyć inteligencyi polskiej w Galicyi wielkiego zaciekawienia sprawami sztuki. Świadczą o tem i gorące spory na temat „stylu“ zakopiańskiego, toczone ze zwolennikami zakopiańskiego „sposobu“ we Lwowie, i ten udział, jaki bierze szerokie koło inteligencyi w sprawie odnowienia katedry na Wawelu, i ten entuzyazm, z jakim słuchano w Galicyi teoryi p. Feliksa Jasieńskiego o „sztuce narodowej;“ świadczą o tem zresztą liczne artykuły prasy, zajmujące się sprawami artystycznemi. W tem powszechnem zajęciu się sztuką znamiennym jest zwrot do wszystkiego, co posiada wybitne rysy swojskości, a więc: do głębszego zapoznawania się z pierwiastkami ludowymi w sztuce, jako krystalizującymi w sobie zasadnicze cechy sztuki narodowej. Entuzyastycznym zwolennikiem i szerzycielem tego nowego kierunku, ugruntowanego już przez cenne prace Matlakowskiego, Witkiewicza i innych, jest p. Kazimierz Mokłowski, architekt, a zarazem wybitny działacz polityczno - społeczny, świeżo wybrany na członka-korespondenta komisyi do badania dzieł sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie. Wygłosił on obecnie w Zakopanem szereg ogromnie ciekawych odczytów o sztuce polskiej, które wzbudziły powszechne zajęcie nietylko wśród jego słuchaczy bezpośrednich. Gruntowny znawca dziejów i filozofii architektury, usiłował na podstawie pierwotnych materyałów etnograficznych i zabytków wyższych form architektonicznych w Polsce, dać syntezę historyczno-estetyczną dawnej sztuki polskiej w dziedzinie budownictwa.

P. Mokłowski wyszedł z założenia, że wszelkie zabytki architektoniczne stanowią niejako cząstkę pewnej warstwy kultury, ogół zaś budowli — to cała warstwa, i że te następujące po sobie warstwy odtwarzają dokładniej od wszelkich dokumentów pisanych losy wdzierających się do Polski i przekształcających się na polskim gruncie obcych wpływów kulturalnych. Oddzielając w naszych zabytkach architektonicznych wszystko to, co niezaprzeczenie stanowi żywioł obcy, dochodzimy stopniowo do poznania cech i właściwości narodowych sztuki, czy — jak w drugim wypadku — architektury polskiej.

Treść wykładów p. Mokłowskiego jest mniej więcej następująca: Od czasów najdawniejszych na bagniskach Polski, na Połabiu i Pomorzu istniały budowle palowe. W okresie miedzi z Azyi stepowej przyszła nowa kultura, stopiwszy się zaś z dawną miejscową, wytworzyła tę opokę, na której się wznosiło budownictwo Polski w fazach następujących: Kultura stepowa przyniosła, jako mieszkanie stepowe, namiot (huculska koliba wraz z budowlami żmudzkiemi jeszcze w XV w. są typem namiotu), na środku którego paliło się ognisko; swas-

---

Tak mydląc ludziom oczy romansem z panną, tumaniąc ich błazeńską pustotą, zyskiwał na swobodzie poruszania się w domu, zdobywał sobie poufałość z kobietami, a wśród nich i z panią domu. Mawiał, że „do życia potrzebuje jej dobroci“ i nazywając ją „mateczką,“ robił się młodszym od swego wieku, aby wejść w korzystną rolę przybranego syna. Gdy zostawali sami, oglądał się wokoło i wydawał jedno ogromne westchnienie ulgi, jako-że z tą chwilą kończyła się pańszczyzna i on zaczynał być sobą. Stawał się nawet poważnym i sentymentalnym. Choć zresztą wąż jeszcze nie zrzucał skóry i nie demaskował się w nim mężczyzna... Mdła rozmowa, jaką w takich sam na sam prowadzili, ograniczała się na przedrzeźnianiu panny Maryi, a potrosze i innych kobiet z jego strony, za co ona strofowała go i gromiła. Tylko jego oczy pokornicające raptem zanosiły do niej jakąś nieokreśloną prośbę, której nigdy nie wymawiały usta albo ogarniały ją wejrzeniem opiekuńczej, smętnej o nią troski, lub też patrzyły z wyrazem niemego porozumienia się dwóch istot, które tajemnicza sympatya stawia w naturalnym spisku przeciw reszcie ludzi. Zresztą nic nie można mu było zarzucić, prócz tych wejrzeń i głosu, który w rozmowie mdłej o drobnostkach przybierał często śpiewność i głębokość uwodzicielską. Tak krążąc wokoło niej bezustannie, gdzie się tylko obróciła, cokolwiek zrobiła, dworując jej, przysiadając się, nadskakując, patrząc w oczy, jak piesek pokojowy, odgadując humor i stosując się do niego instynktownie, oddając mnóstwo drobnych usług, spełniając każde jeszcze niewymówione życzenie... wypatrując skąd dostęp łatwiejszy, czekał skinienia... zachęty... łaski... które nie nadchodziły... A on sam grzązł tymczasem w miłość jak w bagno, które porasta z wierzchu niewinna trawka. Mniemane zakochanie się w nim Serafiny było tą zdradliwą mokrą łączką, na którą wywiodła go młodzieńcza próżność i krewkość. Z uśmiechem na ustach lekki i pewien siebie ścigał rozkosz łatwą i płochą, szukał ulotnego, wygodnego stosunku—tymczasem!...

Ileż razy krwawy dramat życia zaczyna się idyllą lub burleską—ileż razy farsa zaczyna się dramatem.

Któż z nas odgadnie dalszy ciąg tych zdarzeń, które sam nawiązuje bezmyślnie lub niedbale? Często jesteśmy podobni do wiejskich dzieci, obsiadających w kuczki z zachwytem w otwartych ustach ognisko, które rozłożyły w pełnej użątku stodole dla upieczenia kilku kartofli.

. . . .

Serafina nie posiadała wcale tego, co się w języku kobiet nazywa „szczęściem do mężczyzn.“ Jej poprostu mężczyźni nie widzieli — była dla nich istotą bez kształtów, płci i wieku. Ona, która przecież była jeszcze młoda i tak bardzo ładna. Życie jej upłynęło bez cienia romansu. Wyszła za mąż za krewnego, a małżeństwo to skojarzyła nie miłość, lecz rodzinne przywiązanie i kombinacye ciotek. Może dla tego, że nie było w niej żadnych uzdolnień erotycznych, ani śladu kobiecej sztuki uwydatnienia swych zalet i wywarcia efektu. Jej kształtne ciało było zawsze skarykaturowane jakąś haniebną odzieżą, jej włosy źle uwiązane szpeciły samą swą obfitością małą klasyczną głowę, a ręce były tak źle utrzymane! To wszystko jednak nie tyle odstręczało od niej męskie oczy, co jej prostoduszność okropna, naturalność i prostota, przechodząca czasem nawet w gminność. W tej masie kobiet, walczących z sobą o pierwszeństwo w wywarciu najsilniejszego wrażenia, zdobywających w pocie czoła uwagę męską, czem która może: wdziękami, charakterem, umysłem... fre-

tykę, motywy tkackie w zdobnictwie, kult światła, wizerunki psa, konia i człowieka. Namiot stopniowo przeobraził się w kosz, właściwy kulturze półwędrownej. Tej warstwie odpowiadają nasze piwnice, nierzadko koszowe, wkopane w ziemię. Cztery pale, wbite w błoto, stały się podstawą rusztowania, z którego wyrosły dwie formy chat — niemiecka na słup, i polska — na zrąb. Dom palowy, różniczkując się, przekształcał się niekiedy w t. zw. *staję* (zachowana w chacie mazowieckiej w Nieborowie), która była wzorem świątyni w Arkonie.

Ten pierwotny okres budownictwa polskiego, jeśli go można wogóle nazwać wyłącznie polskim, nie zaś pierwotnie słowiańskim, w charakterystyce p. Mokłowskiego najwięcej stosunkowo pozostawia do życzenia. Największą tu rolę odgrywa intuicya, boć i zabytków z owych czasów, poprzedzających skrystalizowanie się państwa Bolesławów i Mieszków, jest nadzwyczaj mało Tak np. co do wpływów bizantyńskich, jakkolwiek te niewątpliwie istniały, prelegent nie mógł określić ich doniosłości i roli w kształtowaniu się budownictwa naszego.

Pierwsze wpływy, przychodzące do nas z Zachodu — to romańszczyzna, przynosząca kamień. Nowa sztuka, roznoszona przez Cystersów i Norbertanów, nie zniszczyła dawnej kultury drewnianej, ale zabarwiła ją nowymi motywami. Budowano i nadal z drzewa, bardzo rzadko z kamienia, z którym nie umiano się obchodzić, ale romańszczyzna weszła głęboko, ogarniając budownictwo chłopskie, odbijając się w łyżnikach, czerpakach, przekształcając się pod wpływem upodobań miejscowych. Następująca fala — gotyku przedostała się do nas z Francyi południowej i styl ten począł się w Krakowie i Wrocławiu przekształcać w gotyk polski, oryginalny, odmienny od francuskiego, niemieckiego lub angielskiego. Powstał on z podcienionych domów miasteczek polskich, przerzucał się z drzewa na kamień i odwrotnie, wnikając w chatę chłopską (sosrąb góralski i powała), a wszędzie zachował swe cechy indywidualne. To samo było i z renesansem, który, powstawszy w swej oryginalnej formie w pobliżu Krakowa, rozpowszechnił się daleko na północ i wschód. Ten renesans polski, jak udowodnił p. Mokłowski, jest wcześniejszym, niż gdzieindziej na północ od Alp i bynajmniej nie stanowi jedynie kopii włoskiego. Następny rodzaj sztuki -barok, wyszedł ze wsi polskiej, z domów szlacheckich XVII i XVIII w. i stał się kolebką baroku polskiego, najbardziej rozwiniętego w Warszawie. Epoka upadku we wszystkich dziedzinach charakteryzuje się przekształceniem baroku w rokoko... Dziś świta odrodzenie budownictwa polskiego, a odrodzenie to wychodzi z chłopskich chat góralskich. Witkiewicz rozwinął przekształconą w ciągu wieków chatę piastowską w wielkie, oryginalne, prześliczne budowle. Teraz kolej na rozwinięcie innych stylów polskich, o których do niedawna nic nie wiedziano.

Zapewne, nie wszystkie wnioski p. Mokłowskiego ostaną się wobec dalszych, dziś zaledwie zapoczątkowanych badań, ale wykłady jego dadzą niewątpliwie nowy bodziec badaczom, zachęcą młode siły do dalszego gromadzenia tak szczupłych dotychczas przyczynków do historyi naszej sztuki. Zresztą trzeba stwierdzić z przyjemnością, że w Galicyi dużo się robi pod tym względem w ostatnich czasach. Nie mówiąc już o takich, wprost epokowych dziełach, jak „Zdobienie i sprzęt,“ lub wcześniej wydane „Budownictwo ludowe na Podhalu“ Matlakowskiego, pomijając materyały, gromadzone przez komisyę sztuki Akademii Umiejętności, należy się cieszyć z takich „Pomników Krakowa“ Cerchy i Kopery lub z „Renesansu w Polsce“ Odrzywolskiego, jakkolwiek dziełom tym (zwłaszcza ostatniemu) można to i owo zarzucić.

Że ten prąd, skierowujący uwagę szerszych kół do pierwiastków rodzimych, ludowych w sztuce, utrwala się coraz bardziej, świadczy o tem między innemi chociażby powstanie w Krakowie Towarzystwa „Polska sztuka stosowana,“ które ma za cel gromadzenie artystycznych motywów polskiego zdobnictwa ludowego. Świeżo właśnie Towarzystwo to zorganizowało swą wystawę, która rozpada się na trzy główne działy. Pierwszy obejmuje „Materyał ludowy,“ a więc wszystko, co charakteryzuje twórczość ludu polskiego w dziedzinie zdobnictwa. Znajdujemy tu wzory tkanin, haftów, wyszywania i deseni, kilimy, dywaniki i fartuchy, sprzęty urządzenia domowego i gospodarskie, gorsety, sukmany krakowskie i cuchy góralskie. Na szczególną uwagę zasługuje bardzo obfity zbiór artystycznie malowanych skrzyń chłopskich, dalej zbiór 77 kartonów z ozdobami do ścian i powały w izbach chłopskich, wycinanie z papieru kolorowego przez dziewczęta wiejskie w Łowickiem, w końcu pokaźny zbiór pisanek, kapliczek przydrożnych i wyrobów garncarskich. Najciekawszymi okazami w tym dziale są modele zagród włościańskich z pod Krakowa i Podhala, wykonane nadzwyczaj starannie i odtwarzające najdrobniejsze szczegóły pierwowzorów.

Drugi dział zawiera „Usiłowania współczesne.“ Streszcza on dokładnie wszystko, co uczyniono u nas dotychczas na polu wyzyskania motywów sztuki ludowej w działalności artystyczno - przemysłowej. Pierwsze miejsce zajmuje tu, naturalnie, budownictwo, przedstawiane przeważnie przez fotografie rozmaitych budowli w stylu zakopiańskim, podobizny ich wewnętrznego urządzenia, plany itd. Stolarstwo i rzeźba, w których motywy zakopiańskie znalazły tak szerokie zastosowanie, zajmuje też wybitne stanowisko. Nagromadzono tu bardzo dużo fotografij mebli w stylu zakopiańskim, oryginalne półki, krzesło, stół i biurko rzeźbione, wykonane przez Wojciecha Brzegę. Ozdobą tego działu są fotografie dwóch pianin, wykonanych w stylu zakopiańskim według rysunku Witkiewicza przez warszawską fabrykę Kerntopfa. Nie mniej ważną dziedziną w której styl zakopiański toruje sobie drogę, jest jubilerstwo. Biżuterya, sporządzona według rysunków Witkiewicza przez krakowską firmę Czaplickiego, odznacza się nieporównanym wdziękiem. Stosowanie motywów zakopiańskich w koronkarstwie reprezentują koronki pani Neużilowej, w wyrobach z porcelany—garnitur z porcelany, sporządzony przez Piętkę. Styl zakopiański panuje powszechnie, jakkolwiek nie niepodzielnie. Oto widzimy bowiem zegar ścienny z motywów opaska krakowskiego, wykonany według rysunku W. Tetmajera. Motywy krakowskie wprowadza też projekt sypialni tegoż artysty.

Najubożej przedstawia się dział trzeci— retrospekcyjny. Widzimy tu trochę starej porcelany polskiej oraz jedyną w swoim rodzaju kolekcyę pasów staropolskich.

Pierwszy występ nowego towarzystwa należy uważać za bardzo udatny. Przyczyni się on niewątpliwie do powodzenia sympatycznej instytucyi i szeroko spopularyzuje jej hasła.

Dawno żaden utwór beletrystyczny nie wywołał takiego hałasu, jak „Legendy“ Andrzeja Niemojewskiego, świeżo puszczone w świat w niezwykle wytwornem wydaniu przez księgarnię Altenberga we Lwowie. Utwory te osnute na motywach ewangelicznych, wprawiły w niepokój cały galicyjski światek klerykalny. Charakterystyczne, że w chórze przeciwników „Legend“ i ich autora znalazł się i głos *Przeglądu* — miesięcznika, niedawno prze-

---

nezyą uczuć, chłodem i niewinnością, sprytem lub naiwnością, kościołem, uniwersytetem, kuchnią, fortepianem, macierzyństwem, ach Boże! wszystkiem, z czego tylko można zrobić wydatny typ, jaskrawo podmalowany blagą!... Ona? Serafina?..' w tym tłumie, walczących o serca męskie amazonek, jakże mogła być spostrzeżoną! Ona przecież usuwała się umyślnie, w cień uchylała dobrowolnie! Nikt nie podejrzewał nawet, że stanowiła tak rzadki, skończony typ serca, że dobrą była —o tem nie wiedziano! W oczach całego świata uchodziła za zwyczajną, mało inteligentną „parafiankę“- była tem, co mężczyźni nazywają z ironicznym, lodowatym szacunkiem „poczciwą babiną.“ Traciła!... jak twarz naturalna na scenie przy twarzach pokrytych szminką. I Różyński, jak tylu innych, byłby przeszedł koło niej, nie zwróciwszy na nią uwagi, gdyby nie traf! Panna Marya była odpowiednią do zabawienia się w wakacyjną sielankę, która się kończy tak, jak rozegrana partya szachów.

Ale traf chciał, że ta niezgrabna Serafina, wyzywająca przez naiwność, jak obuchem uderzyła go w głowę przy pierwszem spotkaniu. Juścić musiał ją zauważyć, skoro mu się prawie oświadczyła, a gdy raz na niej uwagę zatrzymał, już też jej oderwać od niej nie mógł! Nie posiadając żadnych warunków ku temu, by zwracać na siebie oczy ludzkie, miała ich aż nazbyt wiele, by te oczy, które się raz uważnie jej przyjrzały, na zawsze przykuć do siebie. Pod prostą, niezgrabną suknią, odgadywało się bogate kształty kobiet Rubensa. Ciekawe oczy młodzieńca wykradły już niejedną tajemnicę tej „nieświadomej“ i przez swą niewinność, nie dość w skromności „przezornej...“ Przez rozpromienione zmysły miłość jednak szła mu do serca, filtrując się przez uczucia wyższego porządku, które obudziły się w nim pod suggestyą miłosną jej osoby. Przedmiot miłości działał na zwrócone ku sobie uczucie assymilująco: oczyszczał je, odbarwiał i upoczciwiał cokolwiek. Miłostka, osadzona zrazu na lekkim gruncie próżności i zmysłów, karmiona obficie moralnym zachwytem nie stała się wprawdzie serdeczną miłością lecz bądź co bądź zamieniła w uczucie poważne: namiętność. Obcując z nią ciągle, studyował ją z krytycyzmem mężczyzny, który teraz dojrzał w nim szybko i z jasnowidzeniem sympatyi. Miłość jest znakomitym psychologiem, rozwiązującym najtrudniejsze zagadki charakterów; miłość odkryła Antoniemu cały skarb w duszy Serafiny. Natura jego płocha, sztuczna i pospolita, usposobiona do łatwych z sumieniem kompromisów, znalazła też w niej najwyższy zachwyt. „Kurczył się“ wobec tej czystości, dziecięcej prawie, którą zaczął pojmować — imponowała mu jej szlachetna prostota, jej niezrównana powaga umysłu, tak rzadka u kobiet, ujęcie życia prawie ewangeliczne. Lecz nadewszystko zachwycała go jej dobroć. Miłość opatrzyła wzrok jego drobnowidzem, przez który on jeden chwytał te dyamentowe pyłki, na które jej serce rozpraszało się w codziennych postępkach; patrzył na nie pojętnie, zbierał i uogólniał. Kochał ją za kwiaty, które zrywała dla Bejły; za pieszczoty oddawane nosatemu Filusiowi, za powolność dla sług i dzieci, za wyzyskiwanie, lekceważenie, niezrozumienie i niewdzięczność odbierane zewsząd. Za to wszystko ją kochał, na co on by się nigdy sam nie zdobył, co jego trzeźwy logiczny umysł potępiał, na co buntował się i zżymał niepodległy i ambitny jego charakter, z czego delikatnie żartował nie raz głośno, ironicznie wzruszając ramionami.

. . . .

(C. d. n.)

niesionego ze Lwowa do Krakowa. Redakcyę tego pisma oburza jednak nietyle sama treść „Legend,“ co rytualna koszula żydowska, użyta jako motyw ornamentacyjny okładki! *Przegląd* nazywa Niemojewskiego „jednym z ciekawszych kanalików, przez który do rzeki umysłowości polskiej sączy się psychika Kaźmierza i Nalewek.“

Daleki.

Rządowe inspektorki fabryczne

Teoretycy wciąż jeszcze nie mogą oswoić się z myślą, iż samopoczucie społeczne tak słabo rozwija się w szeregach pracownic ręcznych. Pomimo, iż kobiety zajęły w ostatnich dwudziestu latach we wszystkich krajach wybitne stanowisko, jako siła robocza, stanowiąc niekiedy aż 30% ludności pracującej, pomimo iż gałęzie wytwórczości społecznej, dające im przytułek, należą pod względem humanitarnym do najbardziej osławionych, pomimo iż powierza się im w większości wypadków posterunki poprzednio męskie jedynie w nadziei, iż kobieta będzie „milczała w kościele,“ wszelkie hasła samoobrony i inicyatywy społecznej, znalazły w sferach kobiet ludu bardzo słaby oddźwięk. Kilkadziesiąt lat minęło od chwili gdy poeta angielski, Tomasz Hood, zaśpiewał swą wstrząsającą „Pieśń o koszuli,“ stosunki zmieniły się ilościowo i jakościowo do niepoznania. Kilkadziesiąt lat minęło odkiedy ukazały się zalążki wielkich instytucyj obrony i samopomocy społecznej, a jednak pracujące warstwy kobiece pod względem świadomości ekonomicznej postąpiły zaledwie o nieznaczny krok naprzód. Z jakąś niewytłomaczoną apatyą—zrozumiałą o tyle, o ile wszystko da się na świecie objaśnić—z biernością istoty zahukanej „milczy ona w kościele“ połykając swe łzy i nie wydając z siebie ani jęku, ani okrzyku.

Ten właśnie stan duszy kobiecej przeważnie skłonił rządy angielskie i amerykańskie do zaprowadzenia inspektorek fabrycznych. W Ameryce instytucya ta narodziła się w 1889 r., Anglia poszła śladem swej krewniaczki zaatlantyckiej w 1892 r. Państwa niemieckie zaś w 1898 r. zaczynają powierzać kobietom urzędy inspektorek, a od tego czasu ruch kobiecy umieścił w programie swych minimalnych, najgwałtowniejszych żądań punkt, domagający się zreformowania w duchu odnośnym inspektoratu fabrycznego. Wszędzie bowiem ta nowość społeczna wytrzymała świetnie próbę ogniową doświadczenia i zyskała sobie sympatyę rządu, przedsiebiorców i opinii publicznej, którzy z pewnem uprzedzeniem śledzili pierwsze kroki inspektorek fabrycznych.

Na szczęście, ta baczna uwaga i brak zaufania, zupełnie nie krępowały pierwszych pionierek. Amerykanki, którym przypadła w udziale próbna rola przemysłowych urzędników nadzorczych, zabrały się z zapałem, miłością i energią do swych obowiązków i wywiązały się tak znakomicie z zadania, iż dotrzymały kroku mężczyznom. W liczbie ich znajdowała się znana ekonomistka amerykańska, Florence Kelley. Po upływie kilku lat opinia nowatorek utrwaliła się, a udział kobiet w inspektoracie fabrycznym otrzymał prawo obywatelstwa w ustawodawstwie amerykańskiem.

Wtedy to Anglia odważyła się dokonać tej samej próby, ale w sposób nieco odmienny. Inspektorkom powierzono mianowicie początkowo rewizyę hygieniczną zakładów z personelem wyłącznie kobiecym. Stopniowo urzędniczki same rozszerzyły zakres swej działalności, wciągając pod swą kontrolę przemysł domowy i gospodarstwa chłopów irlandzkich. Zupełnie nowy obszar faktów roztoczył się przed ich wzrokiem, a świat przemysłowy w Anglii dowiedział się o rzeczach, których istnienia nie przypuszczał. Gdy się czytało sprawozdanie pierwszych inspektorek, napisane na podstawie własnych wrażeń lub zeznań, gwałtem wydobywanych z kobiet, zdawało się, iż historya cofnęła się o całe stulecie wstecz. Ogół zażądał zatwierdzenia na stałe inspektorów kobiecych, a od tego czasu stosunek tych ostatnich do niewiast pracujących przybrał charakter ściślejszy i poufalszy, co przyczyniło się jeszcze bardziej do rozwidnienia tajemniczego zmroku, panującego w sferze pracy kobiecej. Powstały nowe zagadnienia etyki społecznej, a zarazem nowe przepisy, kładące jako tako tamę nadużyciom i bezprawiu oraz rozciągające opiekę nad bezbronnym, niezaradnym, ciemnym i przygnębionym żywiołem kobiecym. Nie ulega wątpliwości, iż pierwsze inspektorki zawdzięczają swe powodzenie nie tyle aparatowi przysługujących im praw i wpływów, ile swym osobistym zaletom. Były to bowiem, zarówno w Ameryce jak Anglii, zapalone bojowniczki praw ludzkich, kobiety światłe, a zarazem kipiące energią, biorące przebojem twierdze przesądów i krzywd społecznych. Po dzień dzisiejszy instytucye inspektoratu znajdują się pod wpływem pierwszych apostołów kobiecych i rozwijają się w kierunku przez nich nadanym.

Jaką doniosłość posiada czynnik osobisty, charakter pierwszego przedstawiciela instytucyi nowej, szukającej omackiem dróg własnych i posądzanej przez jednych o wścibstwo, a przez drugich o przekupne faktorstwo, to pokazał dopiero dobitnie przykład Niemiec. Pierwsze zamianowało inspektora fabrycznego księstwo Weimarskie (1898 r.) Urząd ten nadano 60-letniej staruszce i przypuszczano, iż maluczko a sędziwa matrona przewróci świat do góry. Gdy to nie nastąpiło, domyślono się nareszcie, iż osoba o sześciu krzyżykach nie nadaje się do posterunku reformatorskiego. Inaczej postąpiła Saksonia. Zamianowano odrazu ryczałtem pięć inspektorek. Tym razem były to kobiety znacznie młodsze — i kazano im przyjmować u siebie w domu zażalenia lub udzielać wskazówek. Upłynęły trzy miesiące, a żadna pracująca kobieta się nie zgłosiła. Z początku przypuszczano, iż widocznie Saksonia jest krajem wzorowym, prawdziwem Eldorado pracy, gdzie nigdy nie zdarza się żadne wykroczenie przeciwko prawu, gdzie rozporządzenia policyi zdrowotnej nie nasuwają nawet żadnych wątpliwości. Nareszcie jedna z pań inspektorek domyśliła się o co idzie: każda nowa instytucya musi wywalczyć sobie sama racyę bytu i pokazać ludziom ową, w istocie ziejącą lukę, którą należy wypełnić. Z jakiej racyi kobieta, która przywykła do roli kozła ofiarnego, pomiatanego przez pewnego rodzaju mężczyzn, uczuje odrazu w sobie ducha proroków, heroizmu i zwróci się z pretensyami do nieznajomej pani, posiadającej funkcye niewiadome? Przytem pojedyncza dziewczyna nie odważy się sama na pierwszy krok, tak niezwykły; zbiorowych zaś „komisyj zażaleń“ kobiety dotychczas, z nielicznymi wyjątkami, nie utworzyły. Otóż należało wprost rozbudzić dopiero potrzebę odnośną, że się wyrażę, terminem Iheringa, walki o prawo, walki o to, aby przepisy rządowe były przestrzegane i nie omijane za pomocą rozmaitych furtek. To też pani inspektorka, pomimo iż nie miała odpowiednich poleceń, sama zaczęła zwiedzać zakłady, rozpytywała się o zatrudnienie domowe, zawiązała bliższe stosunki z zainteresowanemi warstwami kobiecemi, stwierdziła szereg wykroczeń itd.

Nie łatwiej poszła rzecz w innych państwach. Chciano mianowicie rządy obsadzić kobietami, które znałyby zatem dokładnie ekonomię polityczną, hygienę przemysłową, fizyologię organizmu kobiecego, kwestyę kobiecą i wszelkie związane z nią wiadomości faktyczne, oraz statystyczne. Ale tu okazało się, iż takich kobiet należy tymczasem w Niemczech szukać z latarką w ręku. Znajomość życia praktycznego, rozległa wiedza teoretyczna natury przyrodoznawczej i społecznej oraz odpowiednia sprężystość i zapał- są to zalety, które wogóle rzadko idą w parze, a tem bardziej nie dadzą się napotkać odrazu w grupie społecznej, która dopiero od niedawna wyrwała się ze swego wielowiekowego niewolnictwa. Wskutek tego zdecydowano się wybierać kandydatki z pośród kierowniczek zakładów przemysłowych w nadziei, iż z czasem doświadczenie praktyczne uzupełnią potrzebnemi wiadomościami. Pomysł ten okazał się trafnym. Badenia wszakże nie chciała się zrzec ambicyi posiadania wykształconej inspektorki. Wybór padł na pierwszą studentkę badeńską, która ukończyła wydział kameralny (Staatswissenschaften). Młoda panna dokazała w przeciągu jednego półrocza cudów i świetnie sprawuje swe obowiązki.

Nauka społeczna niecierpliwie wyczekiwała wyników aklimatyzacyi na ładzie europejskim instytucyi anglo-amerykańskiej. Wogóle dotychczasowe wyniki próby były świetne, ale sprawdziło się to, co łatwe było do przewidzenia. Jednostki mogą rozwijać swą działalność tylko na odpowiednim gruncie. W Prusiech np. ciemnota i apatya kobiet, a głównie ich niechęć do organizacyi, udaremniają wysiłek i dobre chęci inspektorek, którym sprawozdanie rządowe wystawia chlubne świadectwo taktu, energii, pracowitości i traktowania rzeczy z gruntowną znajomością. Lepszy plon wydała praca inspektorki wirtemberskiej. W przeciągu dziewięciu zaledwie miesięcy swego urzędowania wykryła ona lochy zbójeckie wyzysku. Sześcio - i siedmioletnie dzieci zatrudniano do późnej nocy robótkami ręcznemi po 2 fenigi od godziny! Zebrała sporo ciekawego materyału, dotyczącego pracownic ciężarnych, położnic, żłobka i rozmaitych instytucyj, związanych z losem kobiecym. Właściciele zakładów zachowali się uprzejmie i nie stawili żadnych przeszkód. Ze sfer kobiet pracujących wprawdzie niewiele oceniło dotychczas znaczenie reformy, ale bądź co bądź, inteligentniejsze popierają wszelkiemi siłami inspektorkę. Stopniowo nastąpił podział pracy pomiędzy tą ostatnią, a jej kolegami w ten sposób, iż ci dozorują tylko gałęzie maszynowej fabrykacyi, podczas gdy tamtej wyznaczono resztę terytoryum przemysłowego.

Z wielkiem zadowoleniem odzywają się w tej samej sprawie sprawozdania innych również państw niemieckich. Dzielny bawarski inspektor fabryczny, Poellath, przekonał się w krótkim czasie, iż istnieją zaiste stosunki i okoliczności, o których nigdy mężczyzna dowiedzieć się nie może, zwłaszcza iż kobieta z tego rodzaju sprawami nigdy do mężczyzny dobrowolnie się nie zwróci. W r. 1900 asystentki bawarskie dokonały 1,340 rewizyj. Przenikały one wszędzie, dokąd miały wstęp na mocy udzielonej im przez rząd kompetencyi. Zwiedzały wielkie zakłady, oglądały warsztaty krawieckie, wdrapywały się na poddasza do pokoików szwaczek, a nawet zrewidowały kuchnie restauracyjne i hotelowe — początkowo ku wielkiemu oburzeniu pryncypałów, zdziwionych niesłychanem wścibstwem tych dam wcale przyzwoitych, a nawet poniekąd eleganckich. Z czasem jednak przyzwyczajono się do nowej instytucyi. W miarę częstszych wizyt otwierały się serca jednych a malało podejrzenie drugich. W każdym razie stanowisko wymagało niezwykłego taktu, aby stopniowo zyskując zaufanie po jednej stronie, nie uzbrajać przeciwko sobie drugiej. Nie należało nigdy przekraczać ram prawa i trzeba było wy-

tworzyć formy postępowania, które nie pozwoliłyby wątpić ani o bezstronności inspektorek, ani prawowitości ich kontroli. A ponieważ w danym razie występowała płeć słaba, której się przypisuje najrozmaitsze wady i odmawia samodzielnego sądu, więc zadanie było wszędzie niezwykle ciężkie.

W Hesyi np. wielu wprost widząc, iż mają do czynienia z kobietami, zaczęło robić trudności asystentkom. Niektórzy uciekali się do grubiaństw, chcąc w ten sposób uwolnić się od intruzek. Wszystko to na nic się nie zdało. Tryumf inspektorek fabrycznych w całych Niemczech jest przedewszystkiem zwycięstwem bojowniczek ruchu kobiecego wogóle. Po raz pierwszy bowiem pokazały tu kobiety, iż potrafią piastować wysoce odpowiedzialne posterunki urzędowe, które wymagają nie automatycznych czynności, lecz napięcia najrozmaitszych pierwiastków świadomości. Potrzebne są tu własne sądy o rzeczach, samodzielna inicyatywa i wreszcie zamiłowanie do sprawy. W niektórych państwach inspektorki są pierwszymi urzędnikami kobiecymi. Następnie praktyka społeczna zyskała tu nową zdobycz. Okazało się bowiem, jak niedostatecznymi są wszelkie przepisy, chociażby najbardziej ostre, i połączone z nimi instytucye wobec rzeczywistości i instynktów ludzkich.

Działalność inspektorek obudziła naturalnie powszechne zainteresowanie. Wskutek tego „Towarzystwo dla reformy społecznej,“ na którego czele stoi były minister handlu Berlepsch, zwróciło się do dwu inspektorek z prośbą o wygłoszenie publiczne sprawozdania ze swych czynności. W tym celu zwołano w Dreznie zgromadzenie, gdzie zabrały głos dr. fil. panna Richthofen, inspektorka badeńska, oraz saska asystentka inspektora, panna Dosse. Silne wrażenie sprawił rzeczowy referat pierwszej, w którym naszkicowała całą historyę swej karyery i procedurę pracy. Ciekawa rzecz, iż pannie Richthofen powierzono gałęzie, które mają nie wyłącznie, lecz w przeważającej części personel kobiecy. Fabryki papierosów w Badenii liczą na 23,000 kobiet 11,000 mężczyzn. W tym zawodzie panna Richthofen musi sama sprawdzać plany budowlane fabryk, zatwierdzać porządki pracy, udzielać pozwolenia na pracę nocną, dokonywać rewizyj itp. Najsilniejszy szkopuł stanowi bojaźliwy charakter kobiety pracującej, której wciąż roją się w głowie jakieś straszne upiory i widma. Z tego powodu zniesiono w niektórych miejscowościach określone godziny przyjęć, aby opiekę inspektorki pozbawić formalnego urzędowego, obowiązkowego charakteru i nadać jej czynnościom aureolę serdeczności. Nowy urząd ma przed sobą wielką przyszłość i niezmierzone pole dziewicze, leżące dotychczas ugorem, jako to: zakłady krawieckie, wielkie bazary nowości, przemysł domowy itd. Publiczność nagrodziła hucznymi oklaskami rezolutną i piękną pannę, która wbrew oczekiwaniom filistrów, nie sprawiała bynajmniej wrażenia niebieskiej pończoszki.

Przedm.

FEJLETON.

LIBERUM VETO

Zdumienia.

Zdaje mi się, że jadę w ogromnym tramwaju...

— Mukandoferin, najznakomitszy malarz od stworzenia świata. Mukandoferin — za dwie kopiejki!

Cała załoga tramwaju tężeje ze strachu i wstydu wobec roznosiciela gazet. Mukandoferin? Niech wszyscy dyabli wezmą to nasze wykształcenie! — mówią sobie w duchu jadący. Kończymy gimnazya i uniwersytety, pochłaniamy tysiące książek, bywamy na wykładach publicznych, prenumerujemy pisma peryodyczne i nie wiemy, kto był najznakomitszym malarzem od stworzenia świata! Mukandoferin... Nawet tego nazwiska nigdy nie słyszeliśmy.

Płacimy dwie kopiejki za nasze nieuctwo i dowiadujemy się istotnie, że Mukandoferin, z pochodzenia Bask, przewyższył wszystkich dotychczasowych artystów pędzla, gdyż jego obrazy „wywołują dreszcze, gorączkę, zawroty głowy, nieprzytomność i tłumne wizye, które są istotą sztuki.“ Gdyby można je widzieć i doświadczyć tych stanów... Niepodobna! Jeden z nieśmiertelnych utworów Mukandoferina jest wymalowany na parkanie ogrodu chłopa pod Pamploną (w Hiszpanii), drugi—na ścianie więzienia w Perpignanie (we Francyi), trzeci — na boku statku pływającego po Atlantyku, a inne — na koszulach ubogiego przyjaciela, który musiał je nosić i czasem oddawać do prania, skutkiem czego farby wyblakły. Tak wygląda galerya arcydzieł Mukandoferina. Jego biograf wszakże przyznaje, że według największego znawcy sztuk plastycznych na obu półkulach ziemi, Jasyna, jeszcze genialniejszym jest malarz nowozelandzki, który przedstawił na 2,746 parasolach cykl walki bogów maoriskich z australskimi. Ale dla upodobań naszej, białej rasy Mukandoferin pozostanie szczytem potęgi dreszczotwórczej.

— Ibispolibis, rzeźbiarz nadziemski — za dwie kopiejki! — krzyczy drugi chłopiec, wskakując do tramwaju.

Jadący spoglądają wzajemnie na siebie z niemem pytaniem, czy też kto z nich zna tego artystę. Nie! Wszyscy mają w twarzach zdumienie. Duch Ibispolibisa staje po raz pierwszy w tem gronie, które zwiedziło najbogatsze galerye europejskie i zajmowało się dziełami sztuki. I znowu każdy przeklina w myśli swoją dziurawą wiedzę. Ach, co warte są wszystkie tegoczesne szkoły, dzieła naukowe, czasopisma, jeśli roznosiciel gazet może wykrzyknąć najgłośniejsze w świecie nazwisko, które nigdy nie trąciło naszych uszu? Ibispolibis... Jak on się przed nami uchował? Szczęście, że można go poznać za dwie kopiejki.

Rodem Szwed. W skałach fjordu wyrzeźbił szereg symbolicznych postaci, które „rzucają ogień w najzimniejsze namiętności i każą płonąć lodom.“ Są tam cudowne dziewice z głowami żab i ogonami baranów krymskich, młodzieńcy dyszący żądzą rozkoszy, z rogami antylop i brodami żubrów, dzieci siedzące w skorupach olbrzymich jaj i wpatrzone lubieżnie we wdzięki swej matki — czapli, która trzyma na swem łonie konającego nosorożca. Wobec tych wstrząsających scen i figur — mówi biograf— uczuwamy gwałtowną chęć picia gazowanej krwi z czaszek szatanów i odbicia się od ziemi w tak szalonych podskokach, ażeby przerzuciwszy się po za kres jej siły ciążenia, spaść w bezdenną przestrzeń, zapalić się tym ruchem i błądzić po jej niezmierzonych obszarach jako błyszczący meteor na podziw i trwogę dusz z ziemskiego padołu. Bogowie nigdy nie mają uczniów i nie tworzą szkół. Jest to przywilej belfrów sztuki. Jej prawdziwi stwórcy stoją na szczytach samotni, tylko u ich stóp gromadzą się rozmodleni czciciele. Takimi byli: Hutkar, Anodyn, Ville-es-naim, Calabdon, Meyekurk i wszyscy wielcy mistrze. Takim również jest Ibispolibis. Nikt nie śmiał go naśladować, nikt nie śmiał, jak on, uderzyć dłutem w skały fiordów skandynawskich, bo chyba piorun mściwego ich patrona zgruchotałby zuchwałą rękę.

Czy podobna nie uczuć wstrętu do 30—40—50 lat, które przeżyliśmy w złudzeniu, że każdą wielkość znamy, a w których Ibispolibis nawet nam się nie przyśnił? Doprawdy, takiej głupoty może się nie wstydzić tylko prosty drwal!

Jeszcze nie ochłonęliśmy z tego obrzydzenia do samych siebie, gdy przy drzwiach tramwaju rozlega się:

— Pakulski, najgenialniejszy poeta — za dwie kopiejki!

— No, przynajmniej o Pakulskim coś wiemy. Nie przypuszczaliśmy tylko, że jest on najgenialniejszym poetą. Dawaj chłopcze gazetę, przeczytamy.

Montblanc wam imponuje? — pisze autor. Zawsze to ambicya! Bo przecie takim, jak wy, mrówkom mógłby już zaimponować kopiec z kartoflami. Ale Montblanc, kochane robaczki, chociaż stroi się w turban z obłoków, jest mierzynem pośród gór. Gdybyście z jego czubka puścili strzałę na wschód, utkwiłaby ona zaledwie w biodrze Gaurisankara himalajskiego. Pakulski jest Gaurisankarem naszej poezyi. Czy tylko naszej? Tymczasem — dopóki nasz język przesłania go światu. Nadejdzie wszakże pora — już jej brzask widzę — kiedy cała ludzkość oblana zostanie światłem Pakulskiego, kiedy go uzna za mesyasza, przyobiecanego jej przez proroctwa i legendy, kiedy jego imię będzie znaczyć: *elohim, adonai* — jeden, wszechmocny. Każdemu z was wygląda z za pazuchy jakiś nędzny fetysz. Wyrzućcie co prędzej tych bożków i padnijcie na kolana przed Pakulskim, bo on jest największym z wielkich, bo on wyrósł po nad chmury i oparłszy zadumaną głowę o słońce, słucha, co mu szepcze do ucha nieskończoność. Nie wierzcie baśniom zdawkowej mitologii tłumu, która wam zaleca innych bohaterów: to są osły, niegodne ciągnąć jego rydwanu.

Ileż okrucieństwa tkwi w tem nielitościwem budzeniu nas ze złudzeń! Przeczytawszy te słowa, zdaje mi się, że dotąd byłem grzesznikiem i głupcem: wybijałem pokłony bałwanom i sądy moje miały mniej sensu, niż skrzypienie koła na nienasmarowanej osi. Bo dlaczegóż nie wiedziałem, że Pakulski — Gaurisankar naszej poezyi?

— Janosicz, największy poeta polski — za dwie kopiejki! — krzyczy inny chłopiec na schodach tramwaju.

A to co znowu? Więc jest dwóch największych poetów polskich!

Tak, Janosicz ma duży talent, ale żeby przewyższał wszystkich — nie domyślaliśmy się. Ha, przeczytajmy.

Ziemia, ciągle rodząca matka, ciągle skarży się na swe dzieci. Skarży się, odkąd istnieje. Nikt wszakże tych jej bólów tak nie odczuł i tych jęków nie podsłuchał, jak Janosicz. Bo on sam jest ziemią. Gdyby go obsiać pszenicą, wybujałby on tak wysoko, że ptaki najodleglejszych planet mogłyby wydłubywać ziarna z jej kłosów. Janosicz też nie przemawia językiem ludzkim, lecz wyrzuca z siebie słowa absolutu, bądź zamrożonego w odwiecznym spokoju, bądź buchającego ogniem tworzenia. Ostatnią kroplą rozkoszy jest zawsze cierpienie. On zlewa te gorzkie i mętne resztki w jeden kielich, a podając go czytelnikowi, powiada: masz, wypij tę lurę, a potem obetrzyj gębę i pomódl się. Wtedy zobaczysz istotę rzeczy, której nie widzi żaden mędrzec.

Ach, tyle tysięcy lat ludzkość daremnie usiłowała dotrzeć do istoty rzeczy i absolutu, aż tu nagle kilka wierszy otworzyło jej prostą i krótką drogę. Przecież to wiekopomne odkrycie!

Sądzę, że i wam, jak mnie, zdaje się, iż jedziecie w ogromnym tramwaju, a roznosiciele nowin wskakują co chwila z zadrukowanym papierem, zawierającym bądź dyplom nadzwyczajnej wielkości jakiegoś kolosa, o którym przedtem wcale nie słyszeliśmy lub którego widzieliście w daleko mniejszych rozmiarach, bądź też zupełne

przewrócenie dotychczasowych stosunków wartości osób i czynów. Jest-że to zdjęcie bielma z oczów naszych, głęboki i szeroki przełom wyobrażeń, wyjście na świat rodu olbrzymów, które rozdepczą karle plemię? Tak by należało wnosić, a ten chaos pojęć, jaki się kłębi w naszych głowach, to poczucie niemożności zrozumienia i ocenienia nowych ogromów, które wam się wydają tylko nowemi dziwactwami, przyjąć za smutny dowód tępoty, wzroku oślepłego w jaskrawych promieniach słońc wschodzących. Może rzeczywiście tak jest i może nie sekciarstwo z lekkomyślnością wyprawia durzące widowiska naszemu rozumowi. Ale nawet w takim razie nie wstydźmy się i nie rozpaczajmy. Bo jeżeli człowiek, patrząc na krzak jałowcu, powiada, że widzi jałowiec, a nie rajskie drzewo wiadomości złego i dobrego, to siebie nie poniżył, nikogo nie skrzywdził i spełnił rzetelnie swój obowiązek.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Historya Polski

NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ.

I.

Achilles Loria w swej książce o „Ekonomicznych podstawach ustroju społecznego,“ przytaczając różne przykłady historyczne na poparcie swoich założeń, tak, między innymi, mówi o dziejach Polski:

„Zmniejszenie się produkcyi, spowodowane pogorszeniem się stosunków feudalnych, popchnęło właścicieli rolnych do tego, że za pomocą gwałtu i wyzysku usiłowali zapewnić sobie dochód, jakiego już w tych warunkach gospodarstwo przynosić nie mogło. Naprzód niemiłosiernie zaczęli wyzyskiwać poddanych, potem — w bratobójczych walkach usiłowali jedni drugim wydzierać zdobycz. Gdy zaś wojny domowe zniszczyły podstawy bogactwa narodowego, to rzucili się do podboju krajów sąsiednich, aby w ten sposób zdobyć dochód, którego już nie mogli znaleźć w kraju własnym. Gdy jednak to działo się w Polsce, tymczasem wyłonił się w Europie środkowej i wschodniej system gospodarczy, oparty na pracy najemnej. Dzięki temu znikła tam dawna anarchia gospodarcza i jej miejsce zajęła doskonalsza forma ekonomiczna. Z odmienną ewolucyą ekonomiczną tych krajów szła naturalnie ręka w rękę i odmienna ewolucya polityczna. W Szwecyi i Danii wraz z feodalizmem znikła i dyktatura szlachty i miejsce obieralnego królestwa, przez nią opanowanego, zajęła monarchia dziedziczna, która ze swej strony ujęła szlachtę w karby. W Polsce przeciwnie wraz z feodalną formą dochodu utrzymało się i królestwo obieralne. Król był bezsilny, kilku magnatów trzymało władzę w swych rękach, i wszędzie panoszyła się nieograniczona anarchia. Że wskutek tego zmniejszała się wciąż potęga zewnętrzna Polski, to rozumie się samo przez się — zarówno jak to, że krwawo dręczeni chłopi polscy stracili wszelkie poczucie łączności ze swymi panami i zostali naturalnymi sprzymierzeńcami państw ościennych, gdzie stan ich cieszył się lepszem położeniem. Skończyło się to — rozbiorem Polski.“

Umyślnie przytoczyliśmy cały ten ustęp, na poparcie którego Loria cytuje w odnośniku dwa dzieła: Onckena o czasach Fryderyka II i Meyera i Ardanta o kwestyi rolnej w różnych krajach, jako źródła swej erudycyi. Karejew powiada, że dzieło Lorii jest najlepszym przykładem, jak zasada materyalizmu ekonomicznego, jeżeli przeprowadzać ją konsekwentnie w szczegółach, sprowadza się sama do absurdu; oczywiście, powyższe przedstawienie rozwoju i upadku Polski na podstawie „ekonomicznej,“ pełne tak rażących nonsensów, jest jednym z najsilniejszych argumentów, przemawiających za tem twierdzeniem. Loria, nie znając zupełnie kwestyi, usłyszawszy tylko z daleka, że gdzieś dzwonią, dał obraz czegoś, co, jak mu się zdawało, gdzieś na świecie zdarzyć się mogło, ale co — oprócz wyzysku poddanych i bezsilności władzy królewskiej — nie ma nic wspólnego z dziejami Polski. Tylko że Karejew wniosek swój oparł na niedostatecznych podstawach; jeśli ktoś gdzieś, a szczególnie pisarz tak — mimo swej istotnej oryginalności i w wielu wypadkach trafności poglądów — lekkomyślny i paradoksalny, jak Loria, bez dostatecznej znajomości kwestyi zacznie sobie różne fakty „tłomaczyć ekonomicznie“ i napłodzi przytem nonsensów, to z tego bynajmniej nie wynika, aby sama zasada ekonomicznego pojmowania dziejów była sprowadzona do absurdu. Przeciwnie, zachowuje ona całą swą wartość i wykazuje ją w zastosowaniu do tych samych zagadnień pod ręką człowieka świadomego rzeczy. Najlepszym tego dowodem w wypadku, który nas zajmuje, jest „Zarys historyi społecznej państwa polskiego“ dr. Kazimierza Gorzyckiego.

Napisanie tej książki jest ważnym faktem naukowym, wielką zasługą autora zarówno z punktu widzenia historyografii polskiej, jak i z punktu widzenia rozwoju materyalizmu ekonomicznego. Ze względu na ważność tematu i sposób traktowania go, przypatrzymy się też szczegółowiej treści dzieła, które słusznie powitał już z wielkiem uznaniem prof. Gumplowicz, jako pierwsze w swoim rodzaju. Stwierdzając także to pierwszeństwo, polegające na tem, że dr. Gorzycki pierwszy spróbował dać nam całkowity i wszechstronny, chociaż, niestety, szkicowy zarys dziejów państwa polskiego na podstawie ekonomicznej, nie możemy jednak nie przypomnieć, że miał on godnego siebie poprzednika, który części zadania, i to najważniejszej, jął się był już znacznie wcześniej w tym samym duchu, tą samą uzbrojony metodą i niemniej poważną erudycyą: już w r. 1889 wydrukowany został w Paryżu „Krótki rys historyi poddaństwa w Polsce“ Z. Doliwy, przedrukowany w r. 1898 w zbiorze p. t. „Szkice historyczno-społeczne“ wraz z rozprawami o rencie gruntowej z teoretycznego punktu widzenia i o teraźniejszem położeniu ludności wiejskiej u nas, w Galicyi i w Poznańskiem. Dr. Gorzycki nie podaje wprawdzie wcale bibliografii, i z tego nie waham się zrobić mu zarzutu: podanie pod każdym rozdziałem kilkunastu najważniejszych dzieł pomocniczych nie obciążyłoby książki, a znacznie podniosłoby jej wartość dla chcącego się uczyć; ale przypuszczać musimy, że pracę Doliwy znał i że chyba przypomnienie jej przy tej sposobności uzna za sprawiedliwe. Przeczytanie rozprawy Doliwy będzie dla każdego pożytecznem dopełnieniem książki Gorzyckiego, tem bardziej, że, jak zobaczymy niżej, na jednym dość ważnym punkcie zdania ich się różnią.

Pewna różnica zachodzi już między nimi w odpowiedzi na pierwsze wielkiej wagi zagadnienie, nastręczające się badaczowi *społecznych* dziejów Polski — na zagadnienie, dotyczące powstania nierówności klas i panowania jednej nad drugą. Doliwa trzyma się tu jeszcze nieco przestarzałego schematu: mówiąc — za Lelewelem głównie — o pierwotnym równościowym komunizmie gmin słowiańskich, wspomina wprawdzie ogólnikowo o czynnikach jego rozkładu, jakie spoczywały w wymianie i w walce interesów niejednakowo licznych rodzin, ale powstanie nierówności uorganizowanej tłomaczy niemal wyłącznie wytworzeniem się klasy wojowników, którym książę, uważany za właściciela całej ziemi plemienia, nadaje grunty i przypisuje do nich chłopów. Gorzycki w dwóch bardzo cennych pierwszych rozdziałach swej książki lepiej — przynajmniej w tym względzie — zużytkowuje zdobycze nauki nowożytnej o pierwotnych formach społeczeństw; idąc drogą, wytkniętą przez Juliusza Lipperta w jego „Socialgeschichte Böhmens“ *), wyprowadza on nierówność i powstanie klasy szlacheckiej w sposób bardziej samorodny, naturalny, z rodu patryarchalnego, pierwotnie komunistycznego.

Lasy, niemal nieprzerwane, pełne zwierza, poprzerywane rzekami rybnemi — oto gospodarczy charakter warunków przyrody, w których żyli nasi odlegli przodkowie. Do myśliwstwa i rybołówstwa przyłącza się hodowla bydła na pastwiskach leśnych, lecz nie koni, dla których nie było bujnych, stepów trawiastych. Step i chowający się na nim dobrze koń, dla którego potrzebne były rozległe, coraz nowe pastwiska, czyni z człowieka całkowitego koczownika, a więc wytwórcę skąpego, a co za tem idzie — zaborcę i rabusia. Tak oddziaływa na życie społeczne ten rodzaj bogactwa przyrodzonego, a zarazem to swego rodzaju „narzędzie pracy,“ jakiem jest koń. Słowianie, nie mając go, nie byli pierwotnie wojownikami zaczepnymi ani koczownikami na wielką skalę. Osiedlali się rodami głównie nad brzegami wód, a osiedliwszy się, zaczęli też uprawiać ziemię. Dr. Gorzycki mówi, że Słowianie przynieśli znajomość rybołówstwa, myśliwstwa, chowu trzód i uprawy ziemi „z ojczyzny praaryjskiej do nowych siedzib.“ Czy ma on słuszność, trzymając się lingwistycznej hipotezy owej ojczyzny praaryjskiej, czy też, jak mówi dowcipnie prof. Gumplowicz, w Wiśle przecież musiano łowić ryby, zanim jedna z gałęzi praaryjczyków tu przywędrowała — tę kwestyę pozostawiamy na stronie jako słaby mającą związek z rozwojem form społecznych. Z tego zaś punktu widzenia interesuje nas tutaj twierdzenie Gorzyckiego, że ustalenie się rolnictwa, wprowadzając do domu mężczyznę, który przedtem polował, łowił ryby lub wypasał trzody po za domem, daje mu przewagę nad kobietą i wyradza patryarchat.

Stoimy tu wobec zagadnienia ustroju pierwotnego z jego strony rodowej. Autor w każdym z rozpatrywanych okresów poświęca specyalny rozdział życiu rodzinnemu. Słyszeć się dały głosy, krytykujące go za to, uznające to za niepotrzebne. Nie zgodzilibyśmy się z nimi. Istotnie, w okresach późniejszych rodzina, ustaliwszy się w formie monogamiczno-patryarchalnej, nie jest czynnikiem kształtującym rozwoju ekonomicznego, ani politycznego i przez całe stulecia stoi jakby po za obrębem życia społecznego. Aż dopiero w XVII i XVIII w.— zaczynając od „Marysieńki“ Sobieskiego— wpływ dworskich obyczajów francuskich na magnackie rodziny polskie zaczyna się przejawiać w roli politycznej intryg kobiecych. Istotnie, w kreśleniu pierwszych okresów państwa polskiego rozdziały o rodzinie służą Gorzyckiemu głównie do wyświetlenia praw następstwa tronu: ale tu już przecie niepodobna odmówić pewnej, dość znacznej wagi oddziaływaniu na losy i rozwój społeczeństwa — takich przeżytków, jak wielożeństwo księcia, przechowujące się w formie „małżeństw słowiańskich“ — przyczem widać, jak przeżytki te w pewnej chwili ustępują bardziej podsta-

*) Tom I. Die slavische Zeit und ihre geselschaftlichen Leistungen, w r. 1896; II — Der sociale Einfluss der christlich-kirchlichen Organisation und der deutschen Kolonisation, 1898. — Tu mamy na myśli głównie część drugą t. I: Innere Organisation.

wowym czynnikom (zniesienie uprawnienia małżeństw słowiańskich w r. 1137 *) przez legata papieskiego w celu odjęcia potomstwu Zbigniewa praw do tronu) lub takiego stopniowego zanikania poczucia wspólności rodowej, wyrażającego się w zamianie dziedzictwa rodowego na sukcesyę rodzinną (na najstarszego syna z pominięciem stryjów) i po części przyspieszanego przez polityczną potrzebę tej przemiany. Jeżeli zaś znajdujemy się jeszcze w okresie przedhistorycznym, z którego wszystkie te przeżytki pochodzą, to badanie stosunków dwóch płci i pokrewieństwa ma nadzwyczaj ważne znaczenie, albowiem jest to tu najbardziej bezpośrednia nadbudowa nad formą produkcyi — jest to organizacya podziału i kierownictwa pracy oraz uprawnienia do jej owoców. Niestety, na tym właśnie punkcie, na punkcie stosunków rodzinnych w okresie przedhistorycznym, praca Gorzyckiego jest — co najmniej — bardzo niejasna. Niewątpliwie, niejasność ta wypływa po części z natury rzeczy — z braku danych a specyalnych badań na tem polu; ale właśnie dlatego żałować musimy, że przynajmniej na tym punkcie autor nie rozszerzył planu swego dzieła do skali porównawczości, że tak mało, zdaje się ze wszystkiego, miał na oku wskazówki, a choćby i hipotezy, dostarczone prze paletnologię porównawczą.

Tak np. nie uwzględnia on wcale powszechnie stwierdzonego faktu zakazów matrymonialnych, czyli zakazów małżeństwa w obrębie jednego i tego samego rodu, jednego i tego samego totemu. Mówi wprawdzie o stopniowem równouprawnieniu exogamii z endogamią, przyczem powstanie exogamii tłomaczy jedynie albo niedostateczną ilością kobiet wewnątrz rodu, albo zawędrowaniem rodu w siedziby obcych plemion; ale nie mówi on nic o stopniowem ograniczaniu endogamii, o małżeństwach grupami, o specyalnych umowach wzajemności małżeńskiej między rodami lub częściami rodów — a przecie niepodobna przypuszczać, aby dopiero chrześciaństwo wprowadziło u nas ograniczenia w zawiązywaniu ślubów, które, gdyby nie miały już pewnego podkładu obyczajowego, nie byłyby się mogły przyjąć. Mówi wprawdzie, że u innych ludów „unikano związków małżeńskich“ dla tych samych przyczyn, dla których zabijano starców i dzieci, mianowicie, kiedy brakło środków do życia, a ród nie mógł się rozdzielić; Słowianie zaś mieli dość miejsca do rozdzielania się, więc u nich nie słychać ani o ograniczaniu związków małżeńskich, ani o zabijaniu starców i dzieci. Ale trudno przypuszczać, aby dr. Gorzycki stałe zakazy małżeństw wewnętrznych, połączone zawsze z prawem i obowiązkiem zawierania ich z członkami innych określonych rodów, przypisywał tym przyczynom, brakowi żywności i niemożności rozdzielania się. Etnologowie łamią sobie głowy nad źródłem tych zakazów, istniejących już na tak nizkim stopniu rozwojowym, jak u Australczyków, zresztą — spotykanych powszechnie; o ile próbują rozwiązać tę zagadkę na tle pozytywnem, gospodarczem, to raczej wyprowadzają rodowy zakaz endogamii z konieczności usunięcia zatargów o własność kobiety wewnątrz rodu, a uorganizowaną exogamię — z potrzeby pokojowych stosunków między rodami sąsiadującymi (Kowalewski). Na stopniu cywilizacyjnym rolniczym nakaz exogamii i jej organizacya prawna tłomaczy się już jaśniej — tem, że rody rolnicze potrzebują jak najwięcej ludzi, nie chcą ich tracić, wskutek tego i kobiety wydają za mąż do innych rodów tylko za opłatą (Grosse i in.). U dr. Gorzyckiego nie znajdujemy żadnej próby objaśnienia ślubów przez kupno żony, o których wspomina.

Czytamy też u niego, że u Słowian wielomęstwo nie rozwinęło się; próby wytłomaczenia przyczyn i tu nie znajdujemy! Wogóle jednak hypotezę wielomęstwa wynikającego, podług autora z szybszego wzrostu prawa macierzystego aniżeli prawa ojców i będącego jakoby koniecznym warunkiem i źródłem matryarchatu, należy uważać za nieporozumienie, wynikające ze zbyt szybkiego uogólnienia stanu rzeczy u pewnych plemion górskich (tybetańskich), u których wyjątkowo przez długi czas zabijano dzieci płci żeńskiej. Matryarchat nie opierał się bynajmniej tam, gdzie istniał, na wielomęstwie, lecz tylko na rozwoju pierwotnego „prawa matek“ do gospodarstwa domowego i połączonych z niem początków uprawy gruntu pod rośliny; gdzie rozwoju rolnictwa, tej pierwotnie kobiecej gałęzi produkcyi, nie poprzedzało stadyum *wojowniczo* - pasterskiego koczownictwa, wytwarzające despotyzm mężczyzny, i gdzie mężczyzna, myśliwy lub rybak, musiał stale spędzać wiele czasu na łowach po za domem, tam nic nie hamowało wzrostu domowo-rolniczej władzy kobiety, aż do stopnia matryarchatu rodowo-komunistycznego. W wypadku naszych przodków brakło pierwszego, uniemożliwiającego warunku, ale brakło też drugiego, sprzyjającego. Las prawie nieprzerwany, obieranie miejsc na siedziby nad wodami—sprawiały, że mężczyźni i kobiety nie żyli życiem całkiem obcem i odrębnem; mężczyzna musiał brać udział i w pracach około roli, wymagających karczowania lasu itp. Dzięki temu zapewne nie wytworzył się matryarchat, lecz patryarchat rolniczo-komunistyczny; ale też może temi samemi przyczynami wytłomaczyć można i należy, że patryarchat ten nie miał charakteru brutalnego i bezwzględnego, że nie wytworzył się u nas silny antagonizm między płciami.

Dr. K. Krauz.

*) W tem miejscu uważamy za niezbędne zaprotestować przeciw okropnej korekcie książki. Nawet dat nie oszczędzono: tak w tem właśnie miejscu wydrukowano (str. 86) 1197 zamiast 1137; w innem (str. 77) 1205 zamiast 1105. Z licznej kolekcyi wynotuję tutaj te, których poprawienie jest dla czytelników niezbędne (bo nawet *erratów* nie podano): Str. 73: powino być Giecz zam. Grac; str. 75: *nie* (przepuszczono) umorzył; 95: powinno być wici zam. wiec; 111 — Gryfitów zam. Piastów; 134 — uznawał zam. usuwał; 173 — pruskich zam. pańskich; 176 — Psków zam. Polaków; 180 — zwycięzcą zam. związkiem; 182 — luźność zam. ludność; 185 — nim zam. nie; 205 — powodzenia zam. pozwolenia; 231 — rządzonymi zam. rządowymi; 236 — wyłączając zam. włączając; 239 — tenże zam. ten nie; 255 — przemienienia zam. przeniesienia; 334 — haremów zam. hetmanów; Bezrząd zam. Rząd; 340 — nadworne zam. narodowe; 347 — zakazano zam. nakazano: 360 — sejm zam. sam; 388 masowo zam. musowo. — Co robi na str. 333 (w. 4 od dołu) wyraz *słusznie* — pojąć trudno; na pewno paczy myśl autora. Już to wogóle korekta naszych wydawnictw naukowych hańbę nam przynosi!

LITERATURA I SZTUKA.

Arne Garborg.

Ujawniła się cała zawodność głoszonych z takim zapałem na Północy haseł skandynawizmu, kiedy w roku 1864 małą, słabą Danię opuściły siostrzyce, skazując ją na pewną porażkę w walce z potężnym wrogiem. Umysły bratnich ludów opanowało zniechęcenie, niewiara w ideały. Powoli jednak począł się budzić duch, zwrócono się do badania wewnętrznych stosunków własnego kraju, poddano surowej krytyce urządzenia społeczne, usiłując wykazaniem błędów wytworzyć lepsze warunki.

W okresie tym w Norwegii zaznaczył się wybitnie znakomity powieściopisarz, Arne Garborg (urodzony w 1851 r.). Pochodził on z rodziny chłopskiej, osiadłej w południowo - zachodniej części kraju. W tej stronie Norwegii z dawien dawna pietyści mieli przewagę wśród ludności marzycielskiej, skłonnej do melancholii. Bezustanna walka z klimatem, zupełna zależność od tak strasznego żywiołu jak morze, które w jednej chwili bogacza w ostatnią wtrąca nędzę, które nigdy niezaspokojone, ofiar głodne, rodziny szczęśliwe pogrąża w wieczną żałobę i rozpacz, wyrobiły w mieszkańcach wybrzeży strach zabobonny przed nieznaną przyszłością. Nigdy chwili spokoju w tem powietrzu brzemiennem zawsze nieprzewidzianemi, a często groźnemi wypadkami! Dlatego to Hjalmar Christensen, krytyk norwegski, charakteryzując poezyę tego kraju, wykazuje, że w zachodniej jego części panuje przewaga żywiołu liryczno - dramatycznego, a we wschodniej opisowego, epickiego.

Głęboka melancholia i skłonność do mistycyzmu obok pietyzmu zaszczepionego w dzieciństwie, stanowią zasadniczą cechę twórczości Garborga.

Pod wpływem życia w stolicy, dokąd wysłano go do szkół, czy sam może uciekł z domu, poczęły budzić się w nim wątpliwości natury religijnej. Objawem bezpośrednim rozbratu z wierzeniami dziecięcemi jest pierwsza praca Garbora p. t. „Ein Fritenkjar“ (Wolnomyślny). Wieje z tego utworu młodzieńczy zapał i gorąca wiara w nową prawdę. Wkrótce jednak młody pisarz uległ wpływom powszechnie wówczas głoszonego hasła odtwarzania obrazu panujących stosunków.

Garborg zaczął ten okres nadzwyczaj cenną powieścią społeczno - obyczajową p. t. „Bonderstudenter,“ pisaną pod wrażeniem świeżych jeszcze przejść osobistych. Z bolesną prawdą wykazuje tu autor zgubny wpływ stolicy na niewyrobiony charakter młodzieży wiejskiej, tracącej nagle grunt pod nogami.

W następnej powieści p. t. „Mannfolk“ (Mężczyźni) jest on bardziej przedmiotowym, chociaż wprowadzeniem Nilsa Bugge zaznaczył się już lekko jako późniejszy apostoł, głoszący umartwianie ciała i wyrzekanie się ziemskich rozkoszy. Krytycy lubią zestawiać tę powieść z „Fra Christiania-Bohemen“ (Z cyganeryi chrystyańskiej) Hansa Jaegera. Trudno dowieść, że Garborg nie czerpał z Jaegera lub odwrotnie; powieści ukazały się mniej więcej jednocześnie; istniejące rzeczywiście analogie są zdaje się czysto przypadkowe, wynikające z zasady przedstawiania życia w całej jego nagiej prawdzie. Zarówno pod względem formy jak treści stoi powieść Garborga nieskończenie wyżej. Jaeger, jak słusznie zauważył o nim rodak jego Christensen, jest wprost monomanem, nieinteresującym się zgoła niczem innem, prócz płciowego popędu i różnych jego zboczeń.

Dopełnienie „Mężczyzn,“ stanowi powieść „Hos mama“ (U mamy), dająca obraz wadliwego wychowania dziewcząt.

Wszystkie prace tego okresu cechuje bystra obserwacya, głębokie wniknięcie w jądro złego, nadzwyczajna plastyka w charakteryzowaniu postaci i pewien bolesny humor, znikający coraz bardziej w następnych utworach.

Był to okres twórczości Garborga w dziedzinie powieści społeczno-obyczajowej. Następna psychologiczna powieść należy już raczej do obecnego okresu, w którym przeważa żywioł mistyczno-religijny.

Garborg czuł się niezadowolony ze swych prac poprzednich, żałował wprost, że je napisał, wyrzucał sobie zgubny ich wpływ na młodzież. nierozumiejącą jego intencyj. Wydane w r. 1891 „Traette Maend“ (Znu-

one dusze), dają wyraz temu zniechęceniu i utracie nadziei, aby do stosunków społecznych dały się wprowadzić jakieś zmiany na lepsze. Natomiast kwestya wiary coraz jaśniej wyłania się w powieści. Utwór ten, jak wiadamo, kończy się nadzieją, iż znużone walką dusze znajdą spokój w powrocie do naiwnych, dziecięcych wierzeń, chociażby one tylko były wspomnieniem.

Jak wszechstronnie zajmował się Garborg tą kwestyą wiary, dowodzi znakomite studyum manii religijnej w powieści p. t. „Fred“ (Pokój). Kto z taką potęgą umiał odtworzyć obraz ducha, rozkładającego się pod wpływem obłędu religijnego, musiał głęboko odczuwać i sam przechodzić męki zwątpienia, prowadzące do coraz surowszego kajania się i umartwiania.

W dalszych pracach uwydatnia się już coraz silniej powrót autora do pietyzmu, którym tak przesiąkł, że nie mógł wyzwolic się z pod jego wpływu.

Przed kilku laty (1898) wydał Garborg, znany dotąd tylko jako powieściopisarz, pierwszy zbiorek poezyj lirycznych p. t. „Haugtussa,“ w których z wielką potęgą słowa głosi religię odwetu — kary za grzechy. Najpiękniejsze są ustępy czerpane z mitologii staro-norweskiej, w których przeważa nastrój melancholijny, miejscami nawet ponury przy pięknej formie, naśladującej ludowe pieśni górali norweskich.

W roku zeszłym wyszedł drugi tomik, zawierający poemat p. t. „I Helheim,“ którego treść tylko zewnętrznie łączy się w całość. Jest to opowiadanie snu młodego dziewczęcia o życiu przyszłem, właściwie zaś wyznanie wiary poety. Sceptyk Garborg przeistoczył się tu w proroka, grożącego ogniem piekielnym wszystkim, którzy w sercach swych chowają nienawiść lub żywią pragnienie zemsty wszystkim którzy pożądają dóbr ziemskich: bogactw, władzy czy nawet sławy. Potępieni będą ci wszyscy, którzy nie zdołali pokonać w sobie zwierzęcej chuci, którzy porzucili ideały swoje. Poeta nie zna pośredniej drogi, tylko zbawienie wieczne lub wieczne potępienie.

Dziwna moc tkwi w tych potężnych, czterowierszowych strofach, a męski przeważnie rym sprawia wrażenie ostrych cięć miecza.

Ostatnia praca Garborga, „Den fortable Fader“ (w polskim przekładzie „Mój dziennik“) jest niejako ukojeniem po gwałtownych, namiętnych wybuchach. Ten przeważnie prozą pisany, niewielki pamiętnik jest jakby dalszym ciągiem „Znużonych dusz.“ Autor dziennika jest zupełnym bankrutem fizycznym i moralnym. Zawiodły nadzieje wyrażone w „Znużonych duszach,“ kościół skołatanemu duchowi nie dał oczekiwanego spokoju — powrót do porzuconej wiary okazał się niemożliwym. A jednak, chociaż wszystko zawiodło, ostatniem uczuciem, nieodwołalnie na śmierć skazanego, jest żal za życiem, „bo śmierci pragniemy, ale życie kochamy.“

W poemacie „I Helheim“ był Garborg apostołem strasznego, nieubłaganego odwetu, tu jest apostołem miłości i przebaczenia. Tam potępieniem wiecznem groził tym, którzy zawinili przeciw bliźnim swoim, tu uczy najpiękniejszej cnoty — przebaczenia... a zaczyna naturalnie od siebie samego, bo tak czynił. Ten pełen duchowego zdrowia, spokoju i prawdziwie chrześciańskiej miłości, brat to znana ze „Znużonych dusz“ postać młodego doktora, pogodą swego umysłu działającego kojąco na rozstrojone nerwy Prama.

W króciutkich rozdziałach daje nam poeta wspaniałe obrazy duszy, pogrążonej w bezdennej głuchej rozpaczy, po której nagle ukazuje się błysk nadziei po to tylko, aby równie szybko zgasł jak szybko zabłysnął. Wreszcie szarpany sprzecznemi uczuciami duch znajduje uciszenie ale w chwili, kiedy ciału już sił zbrakło.

Jeśli umysły niereligijne, rozkoszując się poezyą Garborga, zawartą w obu zbiorkach, Haugtussa ze względu na formę jej tylko nie mogły nie czuć pewnego żalu z powodu zacieśnienia się tak potężnego talentu, to ostatni utwór znajdzie oddźwięk we wszystkich duszach z powodu najwyższych ideałów etycznych, których jest wyrazem.

Polityczne dążności autora nie ulegały żadnym zmianom. Jak wyżej wspomniano, Garborg wystąpił w chwili, kiedy hasła skandynawizmu zniesławiły się zupełnie. Jest też on gorącym zwolennikiem i niemal agitatorem zupełnego wyodrębnienia się Norwegii. W tym celu od pierwszej chwili swego wystąpienia pisze tylko w narzeczu ludowem, t. z. landsmaal, odrzuciwszy dotychczas w literaturze używany język duńsko-norweski. Jest to ze strony autora prawdziwe poświęcenie, gdyż nieskończenie większą zdobyłby sławę, gdyby chciał pisać powszechnie znanym językiem, którym włada znakomicie. Nawet tak pięknych utworów jak Haugtussa, nie chcą czytać Norwegczycy w landsmaalu. Ma więc prawo Arne Garborg potępiać tych, którzy ubiegają się o marną sławę, skoro sam nią gardzi.

Józefa Klemensiewiczowa.

Włodzimierz Zagórski

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Ogromny kawał życia i talentu pochłonęła W. Zagórskiemu humorystyka. Bądź wydawał, bądź redagował, bądź zasilał swem współpracownictwem cały szereg pism tego rodzaju we Lwowie, jak: *Osa*, *Kosa*, *Śmieszek*, *Chochlik*, *Szczutek*, *Czerwone Domino* itp. Nie znaczy to wcale, ażeby najsilniejszym nerwem w talencie zmarłego był humor. Wprawdzie umiał on żartować, szydzić i wesoły lub ironiczny śmiech zamykać w zręcznych wierszach, ale była to raczej drwina epikurejczyka, siedzącego w teatralnym fotelu i patrzącego na komedyę życia, niż szczere chichoty i figle łechtanego serca lub bolesne zgrzyty gryzącej satyry tendencyjnej. Nie płynęła w nim krew ani Heinego, ani Marka Twaina, ani Prusa. Zagórski nie należał do żadnego stronnictwa, nie oceniał ludzi i rzeczy z pewnego określonego stanowiska, lecz mierzył wszystkich i wszystko własnym, często zmiennym gustem. Więc to, co mu się w danej chwili wydawało niedorzecznem lub złem, podcinał biczem żartu lub dowcipu. Jeśli bawił — to siebie i jeśli chciał oznaczyć różnicę między czemś a jakąś miarą, to tylko różnicą ze swoją myślą lub upodobaniem.

To chodzenie luzem pozwalało mu zaciągać się na ochotnika do najprzeciwniejszych obozów. Przez lat kilka był korespondentem *Prawdy* ze Lwowa i dworował sobie z wsteczników; osiadłszy w Warszawie, przyłączył się do pism skrajnie konserwatywnych. Nie była to u niego zdrada sztandaru, bo na żaden nie przysięgał, ale — że tak powiemy — zmiana lokalu i stosunków towarzyskich na wygodniejsze. Naturalnie w tej zmianie występował przeciwko nam i naszym ideom, chociaż czynił to bez neofickiej żarliwości. Gdyby Zagórski był umysłem genialnym, gdyby sam stanowił świat odrębny, ta jego niezależność — jak wiele podobnych — miałaby swe uzasadnienie i usprawiedliwienie w samoistnej sile; ale ponieważ geniuszem nie był, więc sprawiał wrażenie przeżytku z owych czasów, kiedy to wszyscy literaci pływali w jednym stawie i nie dostrzegali wyraźnej między sobą różnicy. Taki staw tworzyła przed ćwierć wiekiem prasa galicyjska i może jej bezbarwności zawdzięczał częściowo Chochlik swoją bezwrażliwość na odmiany przekonań i kierunków.

Zagórski napisał kilka powieści („Wilcze plemię,“ „Szalone głowy,“ „O własnych skrzydłach“). Są to roboty wykonane starannie, miejscami kardzo misternie, ale roboty, będące umiejętnem zastosowaniem sztuki do przemysłu. Jako poeta — tj. autor „Piosenek i żartów,“ „Króla Salomona“ i innych drobnych utworów — nie odznaczył się bogatą wyobraźnią, śmiałą oryginalnością i głębią uczucia. Wszystkie te przymioty znalazły się u niego w średniej mierze, podniesionej wszakże nad zwykły poziom wytwórczością formy i zręcznością w pokonywaniu trudności technicznych. Zagórski opracował (i ogłosił w *Wędrowcu*) teoryę polskiego wiersza. Zanalizował go drobiazgowo, mimo to nie władał nim swobodnie, naturalnie. Z wielkiej poprawności wyglądała nieraz mozolna praca, sztuczność, która zna doskonale regułę, ale nie posiada samorzutnej biegłości.

Umarł w szpitalu, karmiony przy końcu życia chlebem miłosierdzia. Można było tę okoliczność pokryć wraz z trumną całunem, ale nie należało zasypywać jej kwiatami pustej, bombastycznej frazeologii o „dumie wielkiego niegdyś pana“ i „granda,“ który zamieszkał w szpitalu, ażeby mieć „odpowiednią wygodę, troskliwą usługę i komfort kulinarny.“ Nie będziemy tu wyjaśniali, w jakich warunkach nieboszczyk kończył życie, zaznaczymy tylko, że wobec tych warunków o wszystkiem raczej wypadało mówić, niż o tem, że „lubiał wino cypryjskie i trufle perigordzkie.“ Bo jeśli ta wzmianka nie miała być ironią, stała się bezmyślnością.

P.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Jan Kasprowicz: „Miłość.“ ilustracye Okunia i Liliena. Wydanie drugie. Nakład Księgarni Polskiej (B. Połonieckiego), w Warszawie u Wendego i S ki.

— St. Przybyszewski: „Poezye prozą.“ Warszawa. Jan Fiszer.

— W. Wolski: „Nieznanym,“ serya pierwsza. Nakl. warsz. Spółki Wyd.

— Józef Hodek: „Urywki poetyczne,“ tłom. z czeskiego K. Zaleski. Gebethner i Wolff.

PROZA. J. Żuławski: „Opowiadania prozą,“ nakł. księg. Paprockiego.

— Z teki samouka: „Nieznane siły,“ sztuka w 5 aktach. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa.

— Wagner: „Młodzież.“ uwieńczone przez Akad. franc. Tłom. z franc. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— D. Żołtyński: „Dymisya,“ szkic sceniczny.

— J. Grzegorzewski: „Z pod nieba wschodniego,“ nowele i fragmenty z podróży. Tow. wydawnicze we Lwowie. Warszawa, Sadowski.

— Dr. Radowan Koszuticz: „Wypisy polskie.“ Druk i nakład serbskiej drukarni państwowej.

— S. Przybyszewski: „Z gleby kujawskiej.“ nakł. Borkowskiego.

FILOZOFIA. Dr. T. Ziegler: „Wiara i wiedza,“ przekł. z niem. Krasnowolskiego. Wyd. *Przegl. Fil.*, skład u Fiszera.

— H. von Helmholtz: „Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teoryi poznania,“ przekł. dr. L. Silbersteina. Wyd. *Przegl. Fil.*, skład u Fiszera.

— J. Żuławski: „Prolegomena,“ uwagi i szkice. Nakład Tow. wydaw. we Lwowie. Warszawa. Księg. Sadowskiego.

— E. Haeckel: „Les enigmes de l'univers,“ traduit de l'allem. par Camille Bos. Schleicher frères. Paris.

PSYCHOLOGIA. Dr. A. Złotnicki: „Z tajemnic duszy,“ spostrzeżenia psychologiczne. Księg. Brzozowskiego.

— Ch. Letourneau: „La psychologie ethnique.“ Schleicher frères. Paris 15, rue des Saints-Pères.

PRZYRODA. Dr. A. Złotnicki: „Z zagadnień życia,“ szkic biologiczny. Księg. Brzozowskiego.

— Dr. Laloy: „L'évolution de la vie,“ Schleicher frères. Paris.

MEDYCYNA i HYGIENA. Dr. M. Kühner: „O nerwowości“ (jak się jej strzedz, jak się z niej wyleczyć). Nakł. warsz. Spółki wydaw.

— Dr. Knopf: „Gruźlica i walka z nią“ (popularna praca konkursowa), tłom. i uzupełnił dr. S. Łagowski. Skł. u Wendego.

GEOGRAFIA. Krynicki: „Rys geografii Królestwa Polskiego,“ wyd. 2-e, z mapą. Gebethner i Wolff.

SPOŁECZNE. A. Zwierzchowski: „W sprawie podniesienia ogrodnictwa krajowego.“ C. 30 kop. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa.

— Ks. Józef Londzin: „Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Ks. Cieszyńskiem.“ Dochód przeznaczony na gimnazyum polskie w Cieszynie. Nakład Tow. wydaw. we Lwowie. Warszawa, skład u Sadowskiego.

ESTETYKA. A. Jasieńczyk-Jabłoński: „Przodownica sztuk plastycznych,“ studyum z dziedziny estetyki. Wende.

HANDEL. W. Kocent-Zieliński: „Podręcznik do korespondencyi handlowej w pięciu językach.“

POEZYE

Zima i słońce, hafciarze.

Zima, słońce — są gdyby dwaj śklniący hafciarze,
Dzierzgający szych szronu na krosnach przyrody...
Ona w srebrnej zasłonie, on złoty bóg młody,
Hartujący swe groty w słonecznym pożarze...

Przyczem myśli: Niech w iskry tęczowe rozżarzę
Lśniący zamróz na szybach, ze szronu ogrody
Złotem światłem wysrebrzę, dyamentowe grody
Z mgły lodowców podźwignę, roztoczę witraże..,

Przyozdobię szkło okien w śklniące hafty srebrne
Przy pomocy szronowej srebrzystej dziewicy,
Złotą zorzą spłonionej w błękitnej świetlicy

Zastygłego wszechświata, jak wizye podniebne,
Dzierzgającej tęcz wzory na Tatr śnieżnych tronach
Przy słonecznych promieni baśniowych tryljonach...

Wacław Wolski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRÓBY POZNAWANIA KRAJU.

W ostatnich czasach daje się u nas spostrzegać znamienny i bardzo pocieszający zwrot i dążność do gruntownego poznania kraju. Zadanie to nie jest łatwe; wymaga ono zbiorowych zarządzeń i stałych organizacyj, których celem jest gromadzenie materyałów i następnie odpowiednie ich opracowywanie. Poczucie tych potrzeb budzi się coraz silniej w różnych grupach i dzięki temu widzimy zaczątki pracy statystycznej. Usiłowania w tej mierze czynią różne instytucye, rozsiane w kraju. o zogniskowaniu zaś tego rodzaju pracy i nadaniu jej właściwego biegu radzą w Towarzystwie przemysłu i handlu. Niezależnie od tego, widzimy już wyniki takiej pracy odrębnych grup, jak np. w gub. Lubelskiej, ku czemu stała się bodźcem miejscowa wystawa przemysłowo-rolnicza. Panowie: Antoni Budny, Maksymilian Dobrski, Emilian Domański, Władysław Graf, Tadeusz Kowalski, Leon Przanowski, Tadeusz Rojewski, Eustachy Świeżawski, A. Vetter, Gustaw Wiercieński, Mieczysław Wolski i J. Żelisławski — zajęli się zorganizowaniem poszukiwań statystycznych i powierzyli opracowanie danych p. Henrykowi Wiercieńskiemu, który stworzył olbrzymią księgę (492 str.) p. t. „Opis statystyczny gubernii Lubelskiej.“ Widzimy tutaj ujęte w cyfry wszystkie niemal dziedziny i objawy życia: społeczne, ekonomiczne, dobroczynne, etyczne. Autor zaczyna od przyrody kraju, spory rozdział poświęca ludności. Następnie idą: rolnictwo, przemysł, komunikacye, handel i kredyt. Całość, ze względu na brak u nas wogóle danych, gromadzonych właściwie, za pomocą urządzeń statystycznych—stanowi cenny materyał surowy, który może posłużyć do oświetlania różnych zjawisk życia i do wyszukiwania dróg jego naprawy. Zastanowimy się tylko nad niektóremi grupami cyfr. Przedewszystkiem zaczynamy od położenia ludności najbiedniejszej tj. włościańskiej i mieszczańskiej. Jak się ona żywi? W całej gubernii Lubelskiej czeladź, utrzymywana na stole dworskim, dostaje pożywienie złożone głównie z kartofli, mąki, kaszy i kapusty. Dodatek mięsa: w święta 10 funtów i w ciągu roku 10 funtów, czyli człowiek dorosły, ciężko pracujący fizycznie spożywa rocznie 20 funtów mięsa. To jedna z tajemnic, dla czego chłop nasz jest ociężały i dla czego praca jego w stosunku do robotnika miejskiego jest bardzo mało produkcyjna. Każdy robotnik otrzymuje mąki 563 kwarty (razówki i pytlowej razem) czyli ziarna 3½ korcy (4,48 hektolitrów); kartofli 280 garncy (7,68 hektolitrów); mleka 272 kwarty (272 litry); słoniny 13,1 funtów (5,3 kilogr.) mięsa 20 funtów (8,17 kilogr.) Spożycie to podług przeciętnych cen miejscowych przedstawia wartość: ziarno 14 rb., kartofle 6 rb., nabiał 10 rb. 20 kop., mięso i słonina 4 rb. 96 kop., razem 34 rb 16 kop. Po wliczeniu niezbędnych wydatków na kuchnię 15—20 rb. rocznie, tudzież wydatków przygodnych (wódka, pieczywo świąteczne, ser, jaja itd.)—około 5 rb., koszt roczny wyżywienia czeladzi wiejskiej wyniesie przeciętnie 54—59 rb. W rachunku tym są brane ceny miejscowe na wsi, na których nie ciężą koszty transportowe itd. Tym sposobem dzienne utrzymanie czeladzi wynosi 15 kop. na osobę.

Wynagrodzenie ordynaryusza jest następujące: Ziarna dla niego i rodziny 12 korcy, ogrodu pod kartofle prętów 120—150, co odpowiada 25—30 korcy kartofli; krowa na oborze dworskiej (800—1000 kwart mleka rocznie); wieprz, żywiony chwastem z ogrodów i przypłoci dworskich, drobnymi kartoflami, otrębami itd., z dodatkiem plew dworskich, rzadko kiedy spożyty przez rodzinę, najczęściej sprzedany, daje 24—30 rb. Natomiast okrasę chłop kupuje. Wszystko to, co ordynaryusz dostaje, odpowiada, według obliczeń p. Wiercieńskiego, potrzebom wyżywienia 3—3½ ludzi dorosłych. Na czeladź parobczyńską ordynaryusze dostają po 3—4 korcy zboża na jednego, niekiedy dodatek w ogrodzie.

Pożywienie powyższe jest przeciętnem w gubernii Lubelskiej. W razach tylko wyjątkowych włościanin ma większe wymagania, które zaspakaja zwykle większy dostatek nabiału i okrasy. Mięso zawsze jest jeszcze artykułem zbytkownym i wyjątkowym. Tylko przy uroczystościach weselnych drużyna zjada w ciągu paru dni całego wieprza (200—300 funtów), nie licząc dziesiątków funtów mięsa wołowego i trzewiów bydlęcych (flaków). Częściej jednak pożywienie ludności wiejskiej jest gorszem od przeciętnego. Zmniejsza się wtedy stopniowo najpierw ilość okrasy i nabiału, następnie kartofle zastępują mąkę i chleb w coraz większym stosunku. Dla tego też stosunek kartofli i nabiału do ogółu pożywienia jest poniekąd miarą zamożności lub niedostatku włościanina.

Z obliczeń powyższych autor przychodzi do następujących wywodów ogólnych: Na wyżywienie człowieka według zwyczajów miejscowych potrzeba zboża 3½ korcy i kartofli 6 korcy. Nie można jednak tej normy uważać za jednostkę do obliczania potrzeb całej ludności. Odliczyć należy dzieci przy piersi, dalej drobiazg 1—4 lat wieku, wymagający jeszcze niewiele pożywienia mącznego (9—12% ludności), następnie około 200,000 ludności, żywiącej się niemal codziennie mięsem, śród której na jednostkę przypada rocznie 1—1½ korca pokarmów mącznych, wreszcie ograniczone spożycie ludności ubogiej. Przy takim rachunku wypadnie przeciętnie 2½ korcy (3,2 hektolitrów) ziarna na głowę. Takąż ilość autor przyjął w innych obliczeniach. Co do kartofli, łamie się on z pewnemi trudnościami; dochodzi jednak do następujących obliczeń: Całe spożycie kartofli w gubernii wynosi 5,400,000 korcy, czyli przeciętnie 4,2 korca (5,5 hektol.) na głowę, ziarna 3,165,000 korcy (2,8 na głowę, przy uwzględnieniu zaś gorszych lub niedostatecznych warunków odżywiania się warstw najuboższych—2,5 korcy).

Na ogół ludności gubernii Lubelskiej (1,206,000) spożycie mleka wynosi kwart 344,362,000; spożywa je głównie dziatwa. Ogólne spożycie mięsa całej ludności w gubernii Lubelskiej wynosi 49,262,460 funtów, co daje w przecięciu 37,3 funtów (15,2 kilo.) na głowę. Rachunek ten wszakże wyjdzie inaczej, jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, że najwięcej mięsa spożywają miasta i miasteczka tudzież inteligencya wiejska. Mieszkaniec miejski zjada przeciętnie 6,6 razy więcej aniżeli wieśniak. Ludność włościańska spożywa przeważnie wieprzowinę tylko. Mięso wołowe, cielęce baranie—je przygodnie, wtedy gdy sztukę dorznąć trzeba lub podczas uroczystości rodzinnej. Wieprzowina daje okrasę. Mięso zaś najpospoliciej jest spożywane pod postacią kiełbasy.

Obfitość ludności rolniczej w g. Lubelskiej sprawia, że ceny robocizny są tam niższe niż w większości krajów rolniczych Europy. Zarobek miejscowej ludności rolniczej w porównaniu z zarobkiem w innych guberniach Królestwa blizkim jest przeciętnego. Płaca dzienna najemników: w gubernii Suwalskiej—mężczyzn 33 kop., kobiet 22½; zarobek roczny: mężczyzn 96 rb., kobiet 65 rb.; w Łomżyńskiej: dzienny mężczyzn 31 kop., kobiet 22; roczny mężczyzn 90, kobiet 64; w gub. Piotrkowskiej: dzienny mężczyzn 31 kop., kobiet 21; roczny mężczyzn 90 rb., kobiet 64 rb.; w g. Warszawskiej: dzienny mężczyzn 30 kop., kobiet 21½ kop.; roczny mężczyzn 87 rb., kobiet 62 rb.; w gubernii Lubelskiej: dzienny mężczyzn 28½ kop., kobiet 19 kop., roczny mężczyzn 83 r., kobiet 55; Płockiej dzienny mężczyzn 27, kobiet 20 kop., roczny mężczyzn 78, kobiet 58 rb.; w Kaliskiej: dzienny mężczyzn 27, kobiet 18 kop., roczny 78—52 rb.; w Siedleckiej: dzienny męż. 25½, kob. 18½ kop., roczny mężczyzn 74, kobiet 54 rb.; Radomskiej: dzienny męż. 25. kobiet 18½, roczny mężczyzn 72, kobiet 54 rb.; w Kieleckiej: dzien. męż. 23½, kob. 17½, roczny męż. 68, kob. 51 rb. Przeciętna płaca dzienna w Królestwie: męż. 28, kobiet 20 kop.; roczna mężczyzn 81, kob. 58 rb. Dane te pochodzą z prac komitetu statystycznego.

Niskie zarobki i obfitość rąk roboczych w gub. Lubelskiej są zjawiskami niemal stałemi, co niewątpliwie pochodzi stąd, iż w stosunku do innych okolic kraju, najmniej tam jest rozwinięty przemysł fabryczny, jak również pozostający w związku z tem zjawiskiem stosunkowo słaby rozwój miast.

Przechodząc do własności ziemskiej, musimy przedewszystkiem podkreślić ruch parcelacyjny. W pierwszym okresie rozdrabniania gruntów (przed r. 1893) ule

porcelacyi, bez udziału Banku włościańskiego 31,516 morgów. Drugi okres rozpoczął się jednocześnie z czynnością Banku Włościańskiego od roku 1890. W ciągu tego dziesięciolecia do 1 stycznia 1900 roku włościanie za pomocą lub pośrednictwem powyższej instytucyi nabyli 38,912 dzies., czyli 75,880 morgów ziemi dworskiej, na której powstało 9,720 nowych osad włościańskich. Porcelacya rozwija się szczególnie tam, gdzie dotąd najsilniej była reprezentowana własność ziemska jedno i dwufolwarczna (300—3000 morgów, pow. Lubelski), wcale zaś jej niema wśród własności magnackiej. Słabszy jest ruch parcelacyjny w powiatach posiadających ziemię lepszą (Hrubieszowski i Zamoyski), silniej tam, gdzie grunty gorsze (pow. Janowski i Lubartowski). W pow. Krasnostawskim, Hrubieszowskim i Lubelskim, posiadających ziemie dobre, pomimo znacznych postępów parcelacyi, własność większa ma dotąd jeszcze przewagę.

Stąd autor przychodzi do wniosku, że drobna własność wzrasta kosztem słabszych cząstek większej. Od r. 1864 liczba samoistnych gospodarstw małych wzrosła co najmniej o 40—50%, a więc ogółem w całej gubernii jest dziś gospodarstw drobnych 100—108 tysięcy, niezależnie od 9,720 osad, powstałych przy pomocy Banku włościańskiego. Razem samodzielnych gospodarstw małych, zarówno włościańskich, jak i szlacheckich p. Wiercieński oblicza na 110—120 tys., które obejmują 1,320,929 morgów. Na jedno więc gospodarstwo przypada przeciętnie 11—12 morgów. Najpospolitszym typem są osady 12—15 morgowe. Pod względem liczby właścicieli małych gub. Lubelska w stosunku do całego kraju zajmuje pierwsze miejsce, pod względem zaś średnich ma ich najmniej. Liczba właścicieli wielkich jest niemal w tym samym stosunku, co w Galicyi.

Bardzo ciekawe są dane w rozdziałach dotyczących hodowli, które jednakże z braku miejsca pominąć musimy. Poświęcimy natomiast słów parę niektórym szczegółom z rozdziału o etyce. Rzucają one bowiem pewne światło na stan moralny różnych warstw ludności i jednocześnie na warunki i urządzenia społeczne. Autor podkreśla fakt znamienny, że od r. 1871 w gub. Lubelskiej datuje się stały wzrost liczby dzieci nieprawych i nazywa to zjawisko „stopniowem pogorszeniem obyczajów.“ Zapomina wszakże, że tu na ten wzrost mogły oddziałać wyjątkowe warunki, niemające nic wspólnego z upadkiem moralności.

Między innemi zasługują na uwagę kolumny cyfr ze statystyki urzędowej o ludziach pozostających pod dozorem policyjnym, których liczba przechodzi niekiedy 900 (00,4% mieszk.). W okresie 1891—96 było pod dozorem za przewinienia polityczne przeciętnie: właścicieli ziemskich 5, drobnej szlachty 5, stanu duchownego 0,6, urzędników dymisyonowanych 3,4, b. urzędników administracyi gminnej 0,4, żołnierzy dymisyonowanych 2,5, osób pochodzenia rosyjskiego 0,5, kolonistów 0,5, mieszczan-chrześcian 12,2, żydów 8,4, włościan 43,6. Kryminalnych ogółem w tym samym okresie było pod dozorem 887.

Poprzestając na tych główniejszych danych, zaczerpniętych z książki p. Wiercieńskiego, która jest owocem pewnej organizacyi statystycznej, dokonanej przez grono ziemian, podkreślamy tę działalność jako pierwsze próby poznawania kraju. Wielce pożądaną byłoby rzeczą, ażeby ziemianie innych gubernij poszli także za tym przykładem. Praca taka może mieć doniosłe znaczenie społeczne i ekonomiczne.

Zen. Piel.

KRONIKA.

Agenci niemieccy w Warszawie. Dowiadujemy się, że od pewnego czasu kręcą się po Warszawie agenci, poszukując robotników, zwłaszcza sztukatorów, do Poznania. Zaszedł tam zatarg pomiędzy przedsiębiorcami i robotnikami; poszukuje się tedy robotników polskich tanich, których w chwili odpowiedniej oczywiście wyrugują z powrotem. *Polen herein — Polen heraus*, stosownie do tego, jak się widzi niemieckim „Kulturträgerom.“ Sądzimy, że należałoby tego rodzaju handlarzom żywym towarem przeszkodzić w szlachetnym procederze, a robotników naszych ostrzedz przed obłudnemi propozycyami.

Święto ognia. Pantomima choreograficzna M. Prażmowskiego może zająć amatorów baletu dość udatnymi obrazami układu p. Grassiego. Treść moralna: czyste uczucie wiejskiej dziewczyny zwycięża niecne intrygi cyganki. Na scenie ukazują się: dwór książęcy, lud wiejski, duchy i potwory leśne, nawet sam szatan przy słodkich dźwiękach harfy i skrzypiec tańczy z cyganką. Muzyka p. Noskowskiego stanowi podkład bardzo do tej treści udatny. Szczególnie akt II obfituje w melodye świeże, łatwo wpadające w ucho, barwne i swojskie. Pięknym jest chór żniwiarzy ze słowami Wespazyana Kochowskiego (z XVII w.), interesującym taniec amazonek z aktu pierwszego, wreszcie krakowiak i mazur w akcie trzecim. Polonez uroczysty, jakkolwiek w efekty instrumentalne bogaty, nie wywarł wcale wrażenia uroczystego, do czego przyczyniły się też trąby dworu książęcego niemiłosiernymi, jak zwykle, fałszami. Pantomimę urozmaicają śpiewy cygana i trubadura (p. Grąbczewski), oraz dziwożony i dziewczyny wiejskiej (p. Frenklówna). Pieśń sobótkowa „O Janie zielonym“ jest bardzo udatnie opracowana, inne pieśni mają motywy banalne, mało charakteryzujące treść słowną. Sądzimy, że nowa pantomima bardzo jest odpowiednia na niedzielne przedstawienia popołudniowe, po cenach zniżonych, gdyż ogółem biorąc, „Święto ognia“ ma wartość muzyczną i obrazową wyższą od innych utworów w tym rodzaju. *Remi.*

Pomnik Chopina. Komitet budowy pomnika Chopina otrzymał podpisane przez 14 rzeźbiarzy, 16 architektów i 74 malarzy żądanie, aby im był pozostawiony głos decydujący o stronie artystycznej pomnika, oraz aby skład wyrokującej komisyi artystycznej wybrany był przez ogół artystów.

Hakata. W Poznaniu odbyło się wielkie zebranie przedstawicieli wszystkich stronnictw niemieckich, na którem uchwalono i wysłano do kanclerza niemieckiego telegram, zapewniający, że „Niemcy poznańscy będą bronili energicznie uciśnionej niemczyzny przed zalewem słowiańskim.“

— Policya berlińska d. 15 b. m. wieczorem osaczyła dom, w którym, jak zwykle, zebrało się około 20 studentów Polaków i zrobiła rewizyę, która jednak nie dała żadnych dowodów winy. Sprawdzono nazwiska zebranych, a dwóch z nich aresztowano pod zarzutem urządzania zebrań politycznych. Tegoż dnia w Charlottenburgu zabrano z mieszkań prywatnych 36 studentów Polaków i osadzono w więzieniu, skąd uwolniono ich nazajutrz.

Przeciw niemczyźnie. Na posiedzeniu członków Tow. fotograficznego postanowiono zerwać stosunki handlowe z Niemcami, a natomiast sprowadzać potrzebne materyały z Anglii, Francyi, Szwajcaryi, Włoch i Szwecyi.

Szkoły. Warszawski okręg naukowy otrzymał z ministeryum oświaty zawiadomienie, że obcy poddani nie mogą otrzymywać pozwolenia na prowadzenie jakichkolwiek zakładów naukowych prywatnych, chociażby posiadali świadectwa z ukończenia miejscowych zakładów naukowych, średnich lub wyższych.

— Ministeryum oświaty zamierza polepszyć położenie materyalne nauczycieli szkół średnich po wysłużeniu przepisanej liczby lat. Według tego projektu emerytura wynosiłaby 2,000 rb. rocznie.

Wiadomości społeczne. Gubernator żytomierski otrzymał z ministeryum spraw wewnętrznych polecenie zamknięcia Towarzystwa rzemieślniczego w Żytomierzu. Majątek Tow. przejmuje na siebie zarząd miejski.

Odczyty. Dnia 1 marca rozpoczną się odczyty w sali Ratuszowej, z których dochód przeznaczono na Osady rolne. Prelekcye wygłoszą pp.: Stanisław Bełza: Kawałkiem Sahary (z obrazami niknącymi); dr. med. Stanisław Orłowski (dwa odczyty): O hypnotyzmie i suggestyi; Henryk Radziszewski: O gospodarstwie finansowem Królestwa Kongresowego; Ignacy Chrzanowski: O Żmichowskiej; Antoni Pilecki: Optymizm i pesymizm naszych poetek; Gustaw Lewy: O najmie sług (dwa odczyty); Jan Maurycy Kamiński: Nie zabijaj!; Kazimierz Gliński: Ustęp z własnej powieści „Bitwa pod Cecorą“; Artur Oppman (Or-Ot): Akt I-y dramatu „Patrycynszka“; Floryan Łagowski: Z dziedziny pedagogiki.

Zakaz. Zostało wydane rozporządzenie, zabraniające zakładania w Królestwie Polskiem kantorów do przyjmowania spraw sądowych.

Dla kobiet. Krakowska okręgowa rada szkolna, uwzględniając rozwój i potrzeby wykształcenia kobiecego, postanowiła zmienić szkołę Św. Scholastyki na liceum żeńskie 6-klasowe, którego uczennice będą miały prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych lub możność obejmowania stanowisk zawodowych.

Cło na książki. W przedlitawskiej Radzie państwa minister handlu oświadczył, że rząd austryacki zwracał się do Petersburga z prośbą o zniesienie cła na książki i czasopisma polskie, drukowane w Austryi, lecz otrzymał odpowiedź odmowną.

Ruch kobiecy. Dnia 15 b. m. otworzono w domu przy ul. Nowy Świat nr. 57 Kasę pomocy i przezorności dla kobiet pracujących fizycznie. Zapisywać się można we wtorki i soboty od godz. 5 do 9 wieczorem. Składka: 50 kop. wpisowego, 15 kop. miesięcznie i na własny kapitał przezorności najmniej 20 kop.

Ciemnota. Nowozawiązane Towarzystwo pomocy biednym Żydom zamierzyło ufundować i utrzymywać swoim kosztem w Warszawie trzecią szkołę rzemieślniczą. Projekt ten spotkał się na zebraniu ogólnem z namiętną opozycyą grona członków, którzy powoływali się na twierdzenie niejakiego Grana, wielkiego rabina, iż Żydzi nie powinni uczyć się rzemiosł. Projekt jednak został zatwierdzony większością głosów lepiej myślących współwyznawców. (*Gaz. Pols.*).

Konkursy. Z okazyi setnej rocznicy urodzin Bohdana Zaleskiego, redakcya *Gońca Łódzkiego* ogłosiła konkurs poetycki na utwór rymowany, treści dowolnej, objętości 800—1000 wierszy. Nagrody dwie: 350 i 150 rb. Termin ostateczny nadsyłania prac oznaczono na d. 1 stycznia 1903 r.

— Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ogłosił konkurs fundacyi Hipolita Wawelberga na dwie najlepsze prace naukowe w zakresie „dziejów ludności żydowskiej w Polsce.“ Oceny prac i wyznaczenia nagród dokona według własnego i wyłącznego uznania tenże wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, do którego uczestnicy konkursu winni nadsyłać prace swoje, bądź w rękopisie, bądź w jednym drukowanym egzemplarzu. Nagród jest dwie: 600 i 400 koron. Termin ostateczny nadsyłania prac upływa w d. 31 grudnia 1903 r.

Wystawy. Wystawę gospodarstwa kobiecego urządza w Wiedniu, w salach Tow. ogrodniczego, Towarzystwo Niebieskiego Krzyża. Otwarcie nastąpi d. 15 marca, zamknięcie d. 20 kwietnia. Wszelkie zgłoszenia przesyłać należy do dyrektora, p. G. Hartgebera (Wiedeń I, Singerstrasse 18), który udziela też objaśnień.

Ze sztuki. W Krakowie zawiązało się „Towarzystwo artystów polskich.“ Będzie ono corocznie urządzać wystawy malarskie i rzeźbiarskie w Krakowie, Warszawie, Lwowie i innych większych miastach zagranicznych, a dla podniesienia poziomu sztuki polskiej wystawiać dzieła pierwszorzędnej wartości.

— W Towarzystwie Zachęty urządzono wystawę obrazów artysty-malarza J. Pankiewicza.

Koleje i komunikacye. Z powodu zaprowadzenia na kolejach w wagonach I i II klasy urządzeń do spania, ilość bagażu zabieranego do przedziałów tych klas ma być ograniczoną.

— Koleje tutejsze otrzymały od zarządu dróg środkowo-azyatyckich zawiadomienie, że z powodu wielkiej ilości transportów droga ta nie podejmuje się dostawy terminowej ładunków.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich podjął starania w celu założenia szpitala dla umysłowo chorych oficyalistów wszystkich kolei w Królestwie Polskiem.

— Przy ministeryum komunikacyj utworzono komisyę, która ma opracować taryfę dla bezpośrednie

komunikacyi towarowej zagranicy z dalekim Wschodem za pośrednictwem kolei Syberyjskiej.

— Departament kolejowy zawiadomił zarządy warszawskich dróg żelaznych, że zostały zniesione bilety osobowe bezpośredniej komunikacyi rosyjsko-austryacko-węgierskiej do Wiednia i Budapesztu.

— Ministeryum komunikacyj utworzyło komisyę, która zająć się ma ulepszeniem żeglugi na rzekach spławnych. W tym celu zażądano, aby z okręgu warszawskiego dostarczono danych o Wiśle, Wieprzu, Narwi, Pilicy i części Bugu, a mianowicie: jakie kursują statki, jak się głęboko zanurzają, jaka jest głębokość wód w różnych porach roku, jakie towary są przewożone, na jakich przestrzeniach odbywa się ruch osobowy itp.

Zdobycze Niemców. Demokraci społeczni podali w parlamencie niemieckim wniosek, aby rząd odesłał swoim kosztem do Pekinu i zwrócił rządowi chińskiemu instrumenty astronomiczne, zabrane z tamtejszego obserwatoryum podczas wyprawy cywilizacyjnej.

Ofiara. Małżonkowie Mc Cormick w Chicago ofiarowoli milion dolarów na założenie instytutu dla badania chorób zakaźnych.

Pomnik. Zarząd miasta Rzymu postanowił wznieść pomnik Shakespeare'owi. Ma to być objawem wdzięczności dla Anglików, którzy nakazali zachowanie języka włoskiego na Malcie.

— Pomnik Ruskina, w postaci medalionu bronzowego, odsłoniono w opactwie Westminsterskiem.

Przemysł i handel. Został zawiązany syndykat fabrykantów żelaza w Królestwie Polskiem.

— Zatwierdzono ustawę trzeciego w Warszawie Towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego.

Rolnictwo. Ministeryum rolnictwa zatwierdziło ustawę kijowskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy rolników i leśników, posiadających wyższe i średnie wykształcenie. Celem Tow. jest pomaganie członkom przez udzielanie pożyczek terminowych, wyszukiwanie posad, robienie doświadczeń w dziedzinie rolnictwa i leśnictwa, urządzanie pogadanek, odczytów, wycieczek naukowych itp. Członkami Tow. mogą być również kobiety.

Katastrofy. Dnia 13 lutego i dni następnych trzęsienie ziemi nawiedziło Baku, Tyflis, Elizawetpol i Szemach. W Szemachu runęły prawie wszystkie domy; zaledwie pozostało kilkanaście, lecz i te uszkodzone. W gruzach znalazło śmierć tysiące ludzi.

— W Chicago skutkiem wybuchu gazów runęły dwa domy. Trzynaście osób zostało zabitych, kilkadziesiąt ranionych.

— W Peterson, w Ameryce, wielki pożar zniszczył sto kilkanaście domów. Kilkudziesięciu ludzi znalazło śmierć w płomieniach lub odniosło silne poparzenia.

Odpowiedzi Redakcyi

Pani Grodzickiej w Dębicy. Do półrocznej prenumeraty należy nam się od Sz. Pani jeszcze 50 kop.

Pani Z. R. w Kaliszu. Adresować trzeba: Grodno, dom własny.

Słowobojowi daliśmy odpowiedź w nr. 48 pod literami Z. O., jak było życzeniem.

Wyszła jako osobna książka I-a część dzieła „Wiek XIX," p. t.:

Zagadnienia moralne:

A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Февраля 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.